

The best of...

5



ZARAZA  
NIENAWIŚCI

---

MURRAY  
LEINSTER

# Murray Leinster

## Zaraza nienawiści

(The Hate Disease)

Science Fiction, 1963  
Ilustracje: John Schoenherr  
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

### SPIS TREŚCI:

Zaraza nienawiści.  
Parlamentariusze.





*Funkcjonariusze Służby Medycznej rutynowo borykają się z dziwnymi problemami: gdyby nie były one dziwaczne, to nie byłyby na tyle trudne do rozwiązania, aby przyciągnąć uwagę Służby Medycznej. Istotą dziwnego problemu przed którym stanęli teraz był fakt, że związany jest on z czynnikiem, o którym nikt wcześniej nie myślał... albo brakiem takiego, którego nigdy wcześniej nie brakowało ...*

## I

**S**tatek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* leciał w nadprzestrzeni, i właśnie w tej chwili, znajdująca się na nim załoga, popijała sobie kawę. Calhoun dopiero co pociągnął łyk, z filiżanki pełnej gorącego napoju. *Tormal Murgatroyd* pił z niewielkiego kubeczka, przystosowanego do jego malutkich, futrzanych łapek. Miernik jednostki astrogacyjnej pokazywał stopień zaawansowania skoku w nadprzestrzeni, wykonany do tej chwili, a jego wskazówka zbliżała się już niemal do punktu końcowego.

Godzinę temu rozległ się gong ostrzegawczy, powiadamiający o tym, że podróż w nadprzestrzeni dobiega końca. Stąd właśnie kawa. Kiedy nadejdzie punkt wyjścia, pole hipernapędu ulegnie kolapsowi, a utrzymująca je wcześniej energia, zostanie wchłonięta przez komórki Duhanne, znajdujące się dalej, w pobliżu stępki małego statku. Wtedy *Asklepios Dwadzieścia* pojawi się w normalnej przestrzeni pośród słońc i gwiazd, z gwałtownością eksplozji. Powinien znaleźć się gdzieś w pobliżu gwiazdy Tallien. Potem będą musieli pozełdować z szybkością podświetlną, jaką należało zachować podczas podróży wewnątrz układu planetarnego, w stronę tej podobnej do Słońca gwiazdy, a następnie podejść do jej trzeciej planety. Następnie na powierzchnię planety wysłany zostanie odpowiedni sygnał, a Calhoun będzie mógł się zająć realizacją celu swojej trzytygodniowej podróży w nadprzestrzeni.

Jego celem była zaś rutynowa kontrola zdrowia ludności Tallien Trzy. Calhoun ostatnio wykonał już trzy takie planetarne wizyty, wymagające od jednego do trzech tygodni podróży w nadprzestrzeni, pomiędzy kolejnymi etapami. Kiedy odlecą z Tallien Trzy, udadzą się z powrotem do Centrali Sektora, po kolejne polecenia odnośnie dalszych prac dla Międzygwiazdnej Służby Medycznej.

Murgatroyd gorliwie wylizał swój pusty kubek, aby nie uronić najmniejszych nawet ostatnich kropelek kawy. Z nadzieją zapytał:

– *Chee?* – Chciał więcej.

– Obawiam się, Murgatroyd – stwierdził Calhoun, – że zmieniłeś się w prawdziwego sybarytę. Ta twoja płomienna żądza kawy, zaczyna mnie niepokoić.

– *Chee!* – zażądał Murgatroyd, zdecydowanym tonem.

– To weszło ci już w nałóg – surowo powiedział mu Calhoun. – Powinieneś trochę się hamować. Pamiętaj, że kiedy coś w twoim otoczeniu, staje się normalną częścią tego otoczenia, zmienia się to w konieczność. Kawa powinna być luksusem, aby smakowała tak jak on, a nie czymś czego oczekujesz i obrażasz się, że jesteś tego pozbawiony.

Murgatroyd powtórzył z niecierpliwością:

– *Chee-chee!*

– No dobrze już, dobrze – poddał się Calhoun. – Jeżeli już podchodzisz do tej sprawy tak emocjonalnie! Podaj mi twój kubek.

Wyciągnął rękę i Murgatroyd wsunął mu w dłoń swój mały garnuszek. Napełnił go, i oddał z powrotem swojemu towarzyszowi.

– Ale pilnuj się – poradził mu. – Łądujemy na Tallien Trzy. Ta placówka właśnie została do nas przesunięta z innego sektora. Była bardzo zaniedbana.



Już od lat, nie było na niej inspekcji Służby Medycznej. Mogą wynikać jakieś nieporozumienia.

Murgatroyd odparł:

– *Chee!* – I przysiadł, żeby wypić kawę.

Calhoun popatrzył na zegar i otworzył usta, żeby znowu coś powiedzieć, ale nagle przerwał mu głos z taśmy:

– *Po sygnale gongu, za pięć sekund nastąpi wyjście.*

Rozległo się miarowe, monotonne tik, tak, tik, tak, jakby dźwięk pracy metronomu. Calhoun wstał zajął się wrywkowym sprawdzeniem przyrządów statku. Włączył ekrany wizyjne. Oczywiście, w nadprzestrzeni były bezużyteczne. Teraz przygotował je, by uzyskać informacje o otaczającym go normalnym kosmosie, natychmiast jak tylko statek do niego wróci. Odstawił naczynia po kawie. Murgatroyd nie chciał oddać mu kubka, dopóki nie wylizał go do samego końca. Potem usiadł na fotelu, i pracowicie czyścił sobie bokobrody.

Calhoun usiadł w fotelu pilota i czekał.

---

– **Bong!** – oznajmił głośnik, i Murgatroyd pospiesznie schował się pod krzeselko. Przytrzymał się go wszystkimi czterema łapkami, oraz dodatkowo swoim futrzastym ogonem. Głośnik oznajmił: – *Wyjście za pięć sekund... cztery... trzy... dwa... jeden...*

Calhoun poczuł nagle, jakby cały wszechświat wywrócił się na drugą stronę, zaś jego żołądek próbował pójść za tym przykładem. Przełknął ślinę i uczucie minęło, a ekrany wizyjne rozjaśniły się. W jednej chwili dookoła nich pojawiło się dziesięć tysięcy miriadów gwiazd, przed nimi zapłonęło słońce, a w jego pobliżu jakieś bardzo jasne obiekty. To były planety, jedna z nich widoczna była jako półksiężyc.



Rutynowo, jako pierwszą rzecz, Calhoun sprawdził widmo słoneczne. To była gwiazda Tallien. Sprawdził widoczne koło niego jasne plamki. Trzy z nich były planetami, a czwarta to odległa bardzo jasna gwiazda. Półksiężyc, to była Tallien Trzy, trzecia planeta od słońca, i bezpośredni punkt docelowy Statku Medycznego. To było bardzo dobre wyjście, za dobre, aby można uznać je za coś innego, niż zwykłe szczęście. Calhoun zmienił kurs statku w stronę planety-półksiężyc. Następnie pobieżnie sprawdził zwykłe elementy. Leciał pod dużym kątem względem ekliptyki, tak więc meteory i inne zabłąkane kawałki kosmicznych śmieci, nie powinny sprawiać mu żadnych kłopotów. Żeby zabić czas, zaczął robić notatki na temat innych spraw.

Jeszcze raz przeczytał arkusze z danymi o planecie. Została skolonizowana trzysta lat temu. Były pewne kłopoty w stworzeniu na planecie nadającego się do wykorzystania przez człowieka systemu ekologicznego, ponieważ rodzime rośliny i zwierzęta, okazały się kompletnie bezużyteczne dla ludzi. Rodzime drewno mogło być używane w budownictwie, ale dopiero po suszeniu przez okres kilku miesięcy. Drzewa i świeże drewno były tak mocno nasiąknięte wodą, jak gąbka. Tutaj nigdy nie pojawiały się pożary lasów, nawet spowodowane przez pioruny!

Były jeszcze inne osobliwości. Rdzennie tutejsze mikroorganizmy nie atakowały odpadów wytwarzanych przez introdukowane organizmy typu ziemskiego. Niezbędne okazało się więc sprowadzenie organizmów padlinożernych, z różnych innych miejsc. Takie właśnie trudności, i jeszcze wiele innych, spowodowały, że tylko jeden z pięciu kontynentów planety, był zamieszkały przez ludzi. Większość powierzchni lądowej, wyglądała dokładnie tak, jak

przed lądowaniem ludzi — nieprzebyte dżungle pełne gąbczastej flory, zamieszkałe przez w większości przez nieznaną i bezużyteczną zwierzynę. Calhoun czytał dalej. Ludność... rząd... statystyki chorobowe... Przeszedł przez całą listę.

Miał sporo czasu do zabicia, sprawdził więc ponownie kurs i szybkość względem planety. Następnie zjedli razem z Murgatroydem kolację. Potem czekał, na chwilę kiedy statek znajdzie się dostatecznie blisko, aby się zgłosić.

– Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* wywołuje ziemię – powiedział do mikrofonu nadajnika, kiedy w końcu nadszedł czas. W czasie nadawania komunikatu, nagrywał swój głos nataśmę. – Proszę o koordynaty do lądowania. Nasza masa wynosi pięćdziesiąt ton. Powtarzam pięć-zero ton. Cel lądowania, planetarna inspekcja zdrowotna.

Czekał na odpowiedź, podczas gdy jego nagrany głos powtarzał, raz i drugi, komunikat zgłoszenia. Docierający do statku głos odparł ostrym tonem:

– *Wywołujący Statek Medyczny! Wyłącz swój sygnał! Nie potwierdzaj tego komunikatu! Kolejne instrukcje w późniejszym czasie. Ale wyłącz swój sygnał!*

Calhoun zamrugnął oczyma. Ze wszystkich możliwych odpowiedzi na komunikat wywołujący kontrolę lotów, rozkazy przerywania nadawania sygnałów, były chyba najmniej prawdopodobne. Po krótkiej chwili, jednak wyciągnął rękę i przerwał transmisję swojego głosu. Stało się to akurat w połowie sylaby.

Cisza. Oczywiście, nie jakaś kompletna cisza, ponieważ w kabinie słychać było nagrane szumy tła dźwiękowego, które odtwarzane były nieustannie, w czasie gdy Statek Medyczny znajdował się w kosmosie.

Gdyby nie to, całkowity brak dźwięku, sprawiałby grobowe wrażenie.

Głos z zewnątrz powiedział w końcu:

– *Przerwałeś. Dobrze! A teraz posłuchaj mnie! Nie potwierdzaj — powtarzam, nie potwierdzaj! — tego komunikatu, ani nie odpowiadaj na próby połączeń ze strony kogokolwiek innego. Tutaj na dole, sytuacja jest bardzo drastyczna. Nie wolno ci — powtarzam, nie wolno ci — wpaść w ręce ludzi, którzy obecnie okupują Centrum Rządowe, Wejź na orbitę. Spróbujemy przechwycić port kosmiczny, tak byś mógł wylądować. Ale nie potwierdzaj tego komunikatu, ani nie odpowiadaj na jakiegokolwiek wywołania, ze strony kogokolwiek innego. Nie rób tego! Nie rób tego!*

---

Potem usłyszał kliknięcie i w uszy uderzyła go głucha cisza. Calhoun z zastanowieniem potarł palcem o nos. Murgatroyd, z rozjaśnionymi oczyma, natychmiast małą ciemną łapką, potarł również i swój nos. Podobnie jak wszystkie *tormale*, uwielbiał naśladować zachowanie ludzi, tak jak papugi czy szpaki naśladowują ludzką mowę. Nagle odezwał się inny głos, przemawiający innym, rzeczowym i profesjonalnym tonem:

– *Wzywam Statek Medyczny! – oznajmił drugi głos.*  
– *Wzywam Statek Medyczny! Port Kosmiczny Tallien Trzy wzywa Statek Medyczny Asklepios Dwadzieścia! Podaję koordynaty do lądowania...*

Głos szybko przekazał odpowiednie instrukcje. Zabrzmiało to naprawdę ściśle profesjonalnie. Precyzyjnie powtórzył podane wcześniej instrukcje.

Zupełnie odruchowo, Calhoun odparł:

– Potwierdzam. – A następnie pośpiesznie dorzucił:  
– Proszę poczekać! Właśnie odebrałem wezwanie alarmowe...

To pierwszy głos przerwał mu natarczywie.

– *Przerwij nadawanie, ty głupcze! Mówiłem ci, żebyś nie odpowiadał na żadne inny wywołanie! Przerwij nadawanie!*

Ściśle profesjonalny głos zimno oznajmił:

– *Wezwanie alarmowe, co? To musieli być paras. Muszą być lepiej zorganizowani niż myśleliśmy, skoro udało im się przechwycić twoje zgłoszenie do lądowania! Tak, to rzeczywiście wezwanie alarmowe! To naprawdę diabelnie alarmowa sprawa... niebezpieczna jak wszyscy diabli! Ale tutaj mówi port kosmiczny. Czy będziesz lądował?*

– Naturalnie – odparł Calhoun. – Ale na czym polega to niebezpieczeństwo?

– *Dowiesz się później...*

To znowu był głos profesjonalny. Ten drugi gniewnie warknął:

– *Przerwij nadawanie!*

I znowu głos profesjonalny:

– *... ląduj. To nie...*

– *Przerwij nadawanie, ty głupcze! Przerwij...* –  
Ponownie ten drugi.

Powstało zamieszanie. Obydwa głosy przemawiały jednocześnie. Każdy z nich emitowany był na wąskopasmowej wiązce kierunkowej, podczas gdy odpowiedzi Calhouna nadawane były w trybie rozgłoszeniowym. Obydwa głosy nie słyszały więc siebie nawzajem, ale mogły odbierać Calhouna.

– *Nie słuchaj ich! To jest...*

– *...zrozumieć, ale...*

– *Nie słuchaj! Nie...*

– *... Kiedy wylądujesz.*

Potem głos z portu kosmicznego umilkł, a Calhoun przyciszył ten drugi. Przez cały czas nie przestawał on czegoś krzyczeć, ale był mocno przytłumiony. Brzmiało to jak nieprzerwany grzechot. Wykrzykiwał polecenia, tak jakby były to jakieś argumenty albo uzasadnienia. Calhoun wytrzymał to przez pięć minut. Potem powiedział do swojego mikrofonu:

– Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia* wzywa port kosmiczny. Łąduję na podanych współrzędnych, w podanym czasie. W razie potrzeby sugeruję podjęcie niezbędnych działań zapobiegawczych, przeciwko ewentualnej ingerencji w moją procedurę lądowania. Koniec komunikatu.

Obrócił statek, wykonał skręt, zmierzając w stronę przesłanego mu punktu docelowego, miejsca w przestrzeni oddalonego od planety o pięć jej średnic, przy środku tarczy słonecznej położonym w takim to a tym miejscu, a środku tarczy planetarnej położonym w takim to a tamtym. Ściszony głos wygrażał mu i krzyczał, w ciszy sterowni Statku Medycznego. Po pewnym czasie Calhoun refleksyjnie stwierdził:

– Nie podoba mi się to, Murgatroyd! Jakiś niezidentyfikowany głos mówi nam — a przecież jesteśmy w końcu załogą Statku Medycznego, Murgatroyd! — z kim wolno nam rozmawiać, a z kim nie wolno. W oczywisty sposób naszym obowiązkiem jest zignorować takie polecenia. Ale z godnością, Murgatroyd! Musimy podtrzymać dobre imię Służby Medycznej!

Murgatroyd sceptycznie odparł:

– *Chee?*

– Nie podoba mi się twoja postawa – oznajmił Calhoun, – ale będę brał pod uwagę, że często masz rację.

Murgatroyd znalazł sobie miękkie miejsce, w którym zwinął się w kłębek. Rozłożył sobie ogon na nosie i leżał tam, rzucając na Calhouna spojrzenia, sponad swojej futrzastej maski przesłaniającej dolną połowę pyszczka.

---

**M**ały statek leciał dalej. Dysk planety rósł coraz bardziej. Wkrótce, można było powiedzieć, że znalazł się pod nim, w dole. W miarę przemieszczania się statku, planeta obracała się, zmieniając się z półksiężycą w półkole, a następnie w wypukły, lekko owalny kształt. Jeżeli chodzi o resztę tego układu słonecznego, to niewiele się działo. Małe, ciężkie planety wewnętrzne, unosiły się dostojnie wokół słońca, po swoich krótkich orbitach. Zewnętrzne planety, gazowe giganty, płynęły z jeszcze większą nawet godnością, po dłuższych trajektoriach. Widać było parę komet o rozmiarach teleskopowych, do tego trochę meteorów. Słońce układu Tallien wyrzucało z siebie gigantyczne płomienie, wywołując nieprawdopodobne burze śnieżne, omiatające atmosferę największego z gazowych planet gigantów, należącego do niebieskiej rodziny złożonej tej gwiazdy i jej satelitów. Jednak kosmos, generalnie, nie zwracał większej uwagi na działania ludzi, czy też ich, z reguły, nieprzyjemne zamiary. Calhoun przysłuchiwał się ze zmarszczonymi brwiami, gniewnemu, rozkazującemu głosowi. Ciągle wszystko to, bardzo mu się nie podobało.

Nagle głos umilkł. Statek Medyczny zbliżył się do planety, na którą został wysłany przez Centralę Sektora, obecnie już parę miesięcy temu. Calhoun przyjrzał się pobliskiemu globowi przez teleskop elektronowy. Na półkuli obracającej obecnie pod

Statkiem Medycznym, dojrzał sporych rozmiarów miasto, z którego rozchodziły się nitki autostrad, zaś tu i tam widać było porozrzucane mniejsze osiedla ludzkie. Przy pełnym powiększeniu dostrzegał wycięte w kwadraty i kliny lasy, pomiędzy którymi znajdowały się puste przestrzenie. Wskazywało to na duże obszary ziemi uprawnej, oczyszczone na potrzeby ludzi, w typowy dla ludzkiej rasy, nieodparty jak przyływ, sposób.

Teraz widział już znajdującą się w pobliżu największego miasta, sieć lądowniczą, tę wysoką na pół mili, podobną do klatki ścianę, posplatanych w skomplikowany wzór metalowych belek. Ociągała ona energię z jonosfery planety, w ilościach potrzebnych dla użytku dla mieszkańców, oraz wykorzystywała tę samą energię do wynoszenia na orbitę i sprowadzenia na dół statków kosmicznych, dzięki którym utrzymywana była komunikacja z resztą ludzkości. Jednak z wysokości orbity, nawet przy pomocy teleskopu elektronowego, Calhoun nie mógł dostrzec żadnego ruchu. Nie było widać dymów, ponieważ elektryczność dostarczana przez sieć, zapewniała całej planecie energię i ogrzewanie, tak więc nigdzie nie było kominów. Miasto wyglądało jak kolorowa mapa, odwzorowana z niesamowitą dokładnością, ale bez żadnych elementów ruchomych.

Przemówił cichy głos. To był głos z portu kosmicznego.

– *Wywołujący Statek Medyczny. Sieć przygotowana do zamknięcia. W porządku?*

– Kontynuujcie – odparł Calhoun. Podkreślił głośność komunikatora.

Głos z ziemi ostrożnie uprzedził:



– *Lepiej trzymaj stery w dłoniach. Gdyby tutaj, na dole, coś się stało, to może będziesz musiał podjąć natychmiastowe działania.*

Calhoun uniósł brwi. Ale odpowiedział:

– *Wszystko gotowe.*

Poczuł kilka miękkich, amortyzowanych pchnięć, w miarę jak pola siłowe sieci lądowniczej obmacywały Statek Medyczny, i umieszczały go w centrum swojej złożonej układanki. Potem, kiedy sieć zamknęła się już się wokół niego, nagle uczucie stałego naporu. Statek Medyczny zaczął schodzić do lądowania, zmierzając w stronę znajdującej się w dole ziemi, początkowo powoli, ale z narastającą szybkością.

Wszystko co się działo było absolutnie typowe i doskonale mu znane. Oczywiście kształty rozciągających się w dole kontynentów, odbierał jako obce, ale to akurat było czymś zupełnie normalnym. Głos z ziemi stwierdził rzeczowo:

– *Wydaje nam się, że wszystko jest pod kontrolą, ale z tymi paras, to zawsze trudno powiedzieć. W zeszłym tygodniu zdołali uciec z kilkoma raketami meteorologicznymi, i być może udało im się zamontować na nich głowice bojowe. Obawialiśmy się, że mogliby ich użyć przeciwko sieci lądowniczej, tutaj na dole, albo próbować strącić ciebie.*

Calhoun spytał:

– *Ale kto to są paras?*

– *Kiedy wylądujesz, zostaniesz wprowadzony w całą sytuację – odparł głos. A następnie dodał: – Ale jak do tej pory, wszystko idzie dobrze.*

---

**A**sklepios Dwadzieścia, schodził coraz niżej, i niżej. Sieć zamknęła się wokół niego na wysokości czterdziestu tysięcy mil. Minęło sporo czasu, zanim

mały statek znalazł się na trzydziestu tysiącach, i równie dużo zanim osiągnął pułap dwudziestu tysięcy. Kolejne minuty niezbędne były do tego aby dotrzeć na dziesięć tysięcy mil, a następnie na pięć, tysiąc i pięćset. Kiedy ziemia była już tylko sto mil pod nimi i Calhoun zaczynał już widzieć dookoła linię horyzontu, głos z dołu oznajmił:

*– Ostatnie sto mil, to najtrudniejsza część, a końcowe pięć będzie naprawdę stresujące. Jeżeli cokolwiek ma się stać, to stanie się właśnie tam.*

Calhoun obserwował ziemię przez teleskop elektronowy. Obecnie, kiedy ustawił największe powiększenie, mógł już dojrzeć poszczególne budynki. Widział również jakieś malutkie robaczki, które musiały być pewnie samochodami na autostradach. Na siedemdziesięciu milach, zredukował powiększenie, aby utrzymać szerokość swojego pola widzenia. Ponownie zredukował powiększenie na pięćdziesięciu, na trzydziestu i na dziesięciu.

Wtedy zobaczył pierwsze oznaki ruchu. Była to rozciągająca się nitka bieli, która mogła być jedynie smugą dymu. Rozpoczęła się spory kawałek poza miastem i strzelała w górę, skręcając się, i ewidentnie celując w lądujący Statek Medyczny. Calhoun rzucił szorstko:

*– Widzę lecącą w górę rakietę. Celuje prosto we mnie.*

Głos z ziemi odparł:

*– Zauważyliśmy ją. Daję ci swobodę ruchów, w razie gdybyś musiał z niej skorzystać.*

Wrażenie lotu statku zmieniło się. Już nie schodził w dół. Operator sieci lądowniczej utrzymywał go w górze, ale Calhoun mógł wykonać manewr unikowy, gdyby tego pilnie potrzebował. Z wdzięcznością przyjął zwróconą mu wolność. Mógł teraz użyć swoich rakiet

ratunkowych, aby w razie konieczności, odskoczyć w bok. W górę strzeliła smuga drugiej nitki dymu.

Inne białe nitki rozpoczęły się tuż poza siecią lądowniczą. Pomknęły za pierwszą. Oryginalne rakiety wydawały się kluczyć. W górę ruszyły kolejne. Ślady dymu pozostawione przez wznoszące się rakiety, i inne które leciały za nimi, utworzyły zawiły wzór, złożony ze splatających się i zbliżających do siebie nawzajem smug. Calhoun usiłował solennie zapewnić samego siebie, że było mało prawdopodobne, aby miały one głowice atomowe. Ostatnie wojny planetarne, które toczono były przy pomocy broni fuzyjnej, przeżyły jedynie załogi pojedynczych statków. Ludności planet, niestety to się nie udało. Ale energia atomowa, ostatnimi czasy, nie była powszechnie stosowana na zamieszkanym planetach. Mocy na potrzeby planetarne, dużo łatwiej było dostarczyć, z górnych, zjonizowanych krańców atmosfery.

Rakieta pościgowa zbliżyła się do pierwszej z wystrzelonych. Pojawiła się ogromna kula dymu i rozbłysk światła, które jednak nie było jaśniejsze od słońca. Nie był to płomień wybuchu atomowego. Calhoun odprężył się. Obserwował jak wszystkie z początkowo wysłanych w górę rakiet, zostały namierzone i zniszczone przez inne. Ostatnia z nich, kiedy to się stało, zdołała pokonać zaledwie trzy czwarte drogi do góry.

Statek Medyczny lekko zadrżał, gdy pola siłowe zacisnęły się z powrotem na jego kadłubie. Łagodnie zaczął schodzić w dół. W końcu znalazł się na ziemi. Na spotkanie z Calhounem, który wyszedł z Murgatroydem z włazu śluzy powietrznej, pojawiło się kilka postaci. Niektóre z nich ubrane były w mundury. Wszyscy mieli ponury wyraz twarzy, i znękany wygląd

ludzi żyjących przez długi czas pod nieustannym napięciem.

Pierwszym, z którym wymienił uściski dłoni, był operator sieci lądowniczej.

– Niezła jazda! Pańskie przybycie może być naprawdę szczęśliwym wydarzeniem. My normalsi, potrzebujemy chociaż łutu szczęścia!

Przedstawił mu człowieka w cywilnym ubraniu, mówiąc, że to planetarny Minister Zdrowia. Mężczyzna w mundurze był szefem policji planetarnej. Pozostali nie zostali mu przedstawieni.

– Kiedy nadeszło pańskie wywołanie, musieliśmy pracować naprawdę szybko! – powiedział operator sieci. – Sprawy ułożyły się dla pana szczęśliwie, ale było już bardzo źle!

– Tak się właśnie zastanawiałem – kwaśno stwierdził Calhoun, – czy wszystkie przybywające tutaj statki, witane są rakietami.

– To byli paras – ponuro odparł szef policji. – Raczej woleliby nie mieć tutaj na dole, człowieka ze Służby Medycznej.

---

**P**rzez port kosmiczny, z pełną szybkością zaczął pędzić jakiś pojazd naziemny. Zbliżał się błyskawicznie w kierunku grupy zebranej koło Statku Medycznego. W bramie portu, rozwyła się nagle syrena. Inny samochód wyskoczył stamtąd, jakby próbując przeciąć drogę temu pierwszemu. Jego syrena ponownie zawyła. Wtedy w oknach pierwszego samochodu pojawiły się jasne iskierki. Zaświstały blasterzy. Z niedowierzaniem Calhoun zobaczył mknące w jego stronę niebiesko-białe wyładowania z blasterów. Ludzie wokół niego również chwycili za broń. Operator sieci zawołał ostrym tonem:

– Proszę wrócić na statek! My się tym zajmiemy! To są paras!

Ale Calhoun stał bez ruchu. Instynktownie starał się nie okazywać niepokoju. Właściwie, tak naprawdę to go wcale nie czuł. Wszystko co się działo, było zbyt wielką niedorzecznością! Próbował ogarnąć całą sytuację i strach w tej konkretnej chwili, w niczym by mu nie pomógł.

Wyładowanie z trzaskiem uderzyło w kadłub Statku Medycznego, tuż koło niego. Z obu jego boków z wizgiem odpowiedział ogień blasterów. Kolejny wystrzał eksplodował tuż u stóp Calhouna. W pierwszym z poruszających się pojazdów, było dwóch mężczyzn, którzy zauważyli, że drugi samochód zbliżał się już, aby zapobiec ich atakowi. Jeden z nich strzelał więc desperacko raz za razem, a drugi próbował równocześnie kierować i strzelać. Samochód z wyjąca syreną, wysyłał w ich kierunku strumień wyładowań. Obydwa samochody kołysały się na resorach i podskakiwały. W takich warunkach trudno było mówić o jakiegokolwiek celności.

Jedno z wyładowań jednak trafiło. Samochód obsadzony przez dwóch mężczyzn, nagle zatoczył się w jedną stronę. Jego przód zawadził o ziemię. Określiło go i wyrzuciło tyłem do góry. Pasażerowie wylecieli przez okna jak z katapuły. Sam samochód przetoczył się dostojnie, uderzając o ziemię tyłem i ponownie przodem, by w końcu zatrzymać się kołami do góry. Jeden z pasażerów leżał bez ruchu. Drugi z trudem podniósł się na nogi, i zaczął biec... w kierunku Calhouna. Wystrzelił desperacko raz i drugi...

Strzały ze ścigającego samochodu uderzyły wokół niego ze wszystkich stron. Jeden z nich go trafił. Mężczyzna upadł.





Dłonie Calhouna zacisnęły się kurczowo. Automatycznie ruszył w stronę drugiej, nieruchomej postaci, działając jak każdy lekarz, w sytuacji kiedy ktoś jest ranny. Operator sieci złapał go za ramię. Kiedy Calhoun szarpnął się, próbując się wyrwać, drugi z przybyszów poruszył się. Jego blaster uniósł się i wystrzelił. Mała kropla kulistego wyładowania zawadziła o bok Calhouna, przepalając jego mundur aż do skóry, dokładnie w chwili kiedy zgrzytliwie zatrzeszczała lawina ognia z blasterów. Drugi z mężczyzn zginął na miejscu.

– Czy pan kompletnie zwariował? – gniewnie wrzasnął na niego operator sieci. – To był para! Pojawił się tutaj tylko po to, by spróbować pana zabić!

Szef policji ostro rozkazał:

– Natychmiast odkazić ten samochód! Sprawdzić czy ma wyposażenie do rozsiewania zarazy! Odkazić wszystko w jego pobliżu! I pośpieszcie się!

Zapanowało milczenie, do chwili kiedy na miejsce nie dotarli ludzie z budynku portu kosmicznego. Pchali przed sobą jakiś zbiornik na kółkach. Przymocowany do niego był wąż, z dyszą na końcu. Korzystając z tego węża, zaczęli rozpylać gęsty, podobny do mgły, ciężki aerozol, który opadał na ziemię, pokrywając ją dokładnie. Od strony rozpylanego płynu dolatywał gryzący zapach fenolu.

– Co się tutaj dzieje? – z gniewem zaczął dopytywać się Calhoun. – Do diabła! Co się tutaj dzieje?

Minister Zdrowia odpowiedział z nieszczęśliwą miną:

– Co się dzieje... Mamy tutaj sytuację zagrożenia zdrowia publicznego, której nie jesteśmy w stanie stawić czoła. Wydaje się, że to jest epidemia... ehmm...



nie jesteśmy pewni czego, ale wygląda to na opętanie przez demony.

---

## II

– Chciałbym – powiedział Calhoun, – uściślić definicję. Po prostu co pan rozumie, przez para.

Murgatroyd zawtórował jego słowom, oburzonym:

– *Chee – chee!*

Działo się to dwadzieścia minut później. Calhoun wrócił na pokład Statku Medycznego, i opatrzył oparzenie na boku, po postrzale z blastera. Zmienił też ubranie z wypalonego munduru, na strój cywilny. Nie wyglądał on tutaj jakoś specjalnie ekscentrycznie. Klasyczne ubrania męskie, były bardzo do siebie podobne, we wszystkich zakątkach galaktyki. Ubrania kobiece, to zupełnie inna sprawa.

Obecnie on i Murgatroyd jechali samochodem, razem z czterema uzbrojonymi ludźmi z policji planetarnej oraz cywilem, który został mu przedstawiony jako Minister Zdrowia tej planety. Samochód zmierzał w szybkim tempie w stronę bramy portu kosmicznego. Powłoka gęstej, szarej mgły ciągle pokrywała ziemię w miejscach, gdzie na dachu leżał samochód niedoszłych zabójców oraz ciała dwóch martwych ludzi. Teraz mgłę rozpylano wszędzie — wszędzie tam gdzie ci ludzie dotknęli ziemi, albo gdzie przejeżdżał ich samochód.

Calhoun miał pewne doświadczenie z epidemiami i środkami nadzwyczajnymi do walki ze skażeniem. Więcej ufności pokładał w prymitywnej sile oczyszczającej ognia. To działało, nieważne jak staro-

żytny mógł być sam proces palenia skażonych rzeczy. W dzisiejszych czasach, jednak bardzo wiele istot ludzkich nigdy nie widziało gołego ognia, poza ewentualnie lekcjami chemii w szkole, gdzie mógł on być pokazywany, jako spektakularnie szybka reakcja utleniania. Ale do ogrzewania, oświetlania i jako źródła energii, ludzie dzisiaj używali elektryczności. Ludzkość wyszła już z epoki ognia. Tak więc, również i tutaj, na Tallien, wydawało się nieuniknione, że rozpyła się jakiś nieefektywny materiał ze środkami dezynfekującymi, zamiast po prostu wypalić to miejsce.

– A więc – powtórzył Calhoun, – co to jest para?

Minister Zdrowia odparł nieszczęśliwym głosem:

– Paras, to... to istoty, które kiedyś były zdrowymi na umyśle, normalnymi ludźmi. Teraz już jednak nie są normalni. Być może nawet nie są już ludźmi. Coś się z nimi stało. Gdyby pan chciał lądować jakiś dzień lub dwa później, nie mógłby pan wylądować w ogóle. My, normalsi, planowaliśmy wysadzić w powietrze sieć lądowniczą, tak by żaden inny statek nie mógł zostać sprowadzony na ziemię i wyniesiony z powrotem w kosmos, aby rozsiać... zarazę na inne planety. Jeżeli to w ogóle jest jakaś zaraza.

– Zniszczenie sieci lądowniczej – praktycznie stwierdził Calhoun, – może być dobrym pomysłem, jako rozwiązanie ostateczne. Ale z pewnością najpierw trzeba spróbować innych rzeczy!

Potem przerwał. Samochód w którym siedzieli, dojechał do bramy portu kosmicznego. Czekają tam trzy inne pojazdy. Jeden z nich włączył się do ruchu, przed nimi. Pozostałe dwa zajęły pozycje z tyłu. Konwój czterech samochodów, z których każdy najeżony był bronią energetyczną, pomknął szeroką autostradą, rozpoczynając się tutaj, koło portu

kosmicznego i ciągnącą się, po równym jak stół terenie, prosto w stronę miasta, którego wieżowce widać było na horyzoncie. Pozostałe samochody, tworzyły eskortę Calhouna. Potrzebował jej już wcześniej, i być może będzie potrzebował jej ponownie w przyszłości.

– Z medycznego punktu widzenia – powiedział do Ministra Zdrowia, – zakładam więc, że para jest ofiarą ludzką jakiegoś zakażenia, które spowodowało, że zachowuje się ona i działa jak szaleniec. To jest dosyć niejasne. Mówi pan ponadto, że nie daje się tego kontrolować. To powoduje, że wszystko staje się jeszcze bardziej niejasne. Jak szeroko się to rozprzestrzeniło? To znaczy, pod względem geograficznym.

– Paras pojawili się – odparł Minister Zdrowia, – we wszystkich miejscach na Tallien Trzy, w których są ludzie.

– A więc, to jest epidemia – zauważył profesjonalnie Calhoun. – A właściwie, można by to nawet nazwać pandemią. Jak wiele jest przypadków?

– Wydaje nam się, że jakieś trzydzieści procent populacji... jak do tej pory – powiedział pozbawionym nadziei głosem Minister Zdrowia. – Ale każdego dnia ich łączna liczba rośnie. – Po chwili dodał jeszcze: – Doktor Lett ma pewne nadzieje na uzyskanie szczepionki, ale dla większości z nas, będzie już na to za późno.

Calhoun zmarszczył brwi. Przy rozsądnie nowoczesnych technikach medycznych, infekcja niemal każdego rodzaju, powinna zostać powstrzymana na długo przedtem, zanim pojawiło się tak wiele przypadków!

– Kiedy to się zaczęło? Jak długo to wszystko już trwa?

– Pierwsi paras zostali przebadani sześć miesięcy temu – odparł Minister Zdrowia. – Myślano, że to jest choroba. Badali ich nasi najlepsi lekarze. Nie byli zgodni co do przyczyny, nie udało im się znaleźć żadnej bakterii, ani wirusa...

– Symptomy? – rzeczowo spytał Calhoun.

– Doktor Lett opisał je w kategoriach medycznych – powiedział Minister Zdrowia. – Stan ten zaczyna się od okresu olbrzymiej skłonności do irytacji lub depresji. Depresja jest tak głęboka, że niczym rzadkim nie są samobójstwa. Jeżeli nie zakończy się to w ten sposób, to następuje potem okres podejrzliwości w stosunku do wszystkich i skłonności do zachowywania wszystkiego w sekrecie — co wyraźnie sugeruje paranoję. Następnie pojawia się ochota na... niezwykle pożywienie. Kiedy staje się ona nieposkromiona, pacjent popada w szaleństwo!

---

**S**amochody pędziły w stronę miasta. W pewnej chwili pojawiła się druga grupa pojazdów, oczekujących na nich przy drodze. Kiedy złożony z czterech samochodów konwój do nich dojechał, jeden z czekających dołączył do nich przed pojazdem w którym jechali Calhoun i Murgatroyd. Pozostałe wmieszały się w szyk z tyłu kolumny. Zaczynało wyglądać, że dysponują budzącą respekt siłą bojową.

– A po szaleństwie, co? – spytał Calhoun.

– Wtedy stają się paras! – wyjaśnił Minister Zdrowia. – Mają niewiarygodne łaknienie. Jedzą obrzydliwe rzeczy. No i nienawidzą nas, normalsów... niech to diabli, jak oni nas nienawidzą!

– A po tym, co dalej? – dociekał dalej Calhoun. – To znaczy, jakie są rokowania? Czy oni umrą, czy

wyzdrowieją? Jeżeli wyzdrowieją, to jak długo to potrwa? Jeżeli umrą, to jak szybko?

– Potem po prostu są paras! – opryskliwie oznajmił Minister Zdrowia. – Ja nie jestem lekarzem. Jestem administratorem. Ale nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek miał wyzdrowieć. Z pewnością też żaden z nich od tego nie umiera! Pozostają już — tacy, jakimi się stali.

– Moje wszystkie doświadczenia – stwierdził Calhoun, – dotyczą chorób, z których na ogół albo się zdrowieje, albo na nie umiera. Choroba, której ofiary organizują się na tyle, aby ukraść rakiety meteorologiczne i wykorzystać je do zniszczenia statku — tyle tylko, że im się to nie udaje — ale ponawiają akcję, próbując zamachu... to w ogóle nie wygląda na chorobę! Choroba nie ma żadnego celu sama z siebie! Oni zaś mają cel — tak jakby słuchali rozkazów kogoś spośród nich.

Minister Zdrowia wyznał nerwowo:

– Sugerowano już coś takiego... że to coś z dżungli spowodowało te wszystkie rzeczy. Na innych planetach są przecież stworzenia, potrafiące wysysać krew, nie budząc swoich ofiar. Są gady polujące na ludzi. Są nawet owady, żądłące ludzi i wstrzykujące im choroby. Wydaje się, że coś takiego mogło przedostać się tutaj z dżungli. Kiedy ludzie śpią... coś się z nimi staje. Zmieniają się w paras. Coś stąd, z tej planety, musi być za to odpowiedzialne. Ta planeta nas nie lubi. Nie ma żadnej tutejszej rośliny, ani zwierzęcia, które byłyby dla nas użyteczne! Aby mogły rosnąć tutaj rośliny ziemskiego typu, musieliśmy nawet wyhodować kultury bakterii glebowych! Nawet nie zaczęliśmy poznawać tych wszystkich stworzeń, żyjących w dżungli! Jeżeli coś przychodzi z zewnątrz i zamienia ludzi w paras, bez ich wiedzy...

Calhoun delikatnie odparł:

– Wydaje się, że takie stworzenia, musiałyby zostać wykryte.

Minister zdrowia gorzko oznajmił:

– Nie te stworzenia! Ono są inteligentne! Ukrywają się! One działają tak, jakby planowały nas zniszczyć! Przecież... był kiedyś pewien młody lekarz, który ogłosił, że wyleczył para! Ale kiedy pojawiliśmy się, aby sprawdzić jego twierdzenia, znaleźliśmy jego i byłego para, martwych! Stworzenia z dżungli zabiły ich! One myślą! One gromadzą wiedzę! One myślą! One są rozumne, i diabelnie...

---

**P**ojawiła się trzecia grupa czekających na nich samochodów. Podobnie jak i pozostałe, wypełnione były one ludźmi, trzymającymi w ręku strzelby energetyczne. Nowe pojazdy przyłączyły się do procesji — mknącej z pełną szybkością i nawet na chwilę nie zatrzymującej się, grupy samochodów z portu kosmicznego. Autostrada ewidentnie była patrolowana, w celu zapobieżenia zasadzce lub blokadzie drogi. Grupa, wzmocniwszy swoje siły bojowe, podróżowała bez przeszkód dalej.

– Jako lekarz – ostrożnie wyraził swą opinię Calhoun, – kwestionowałbym istnienie miejscowych istot, nieludzkich ale racjonalnie myślących. Stworzenia rozwijają się lub adaptują, tak aby dostosowywać się do środowiska w którym żyją. Zmieniają się lub rozwijają, by wpasować się w jakąś niszę, w jakieś specjalne miejsce w systemie ekologicznym, który istnieje w ich środowisku. Jeżeli w tym środowisku nie ma takiej niszy, ani nie ma przestrzeni dla stworzeń określonego rodzaju, takie stworzenie nie może tam istnieć! A w żadnym

środowisku nie może być miejsca dla stworzenia, które będzie je zmieniało! To są absolutnie sprzeczne kategorie! My, racjonalnie myślący ludzie, zmieniamy planety, które zajmujemy. Każde racjonalnie myślące stworzenie, musiałyby robić tak samo! A więc, istnienie racjonalnie myślącego zwierzęcia, jest niemal najbardziej niemożliwe, ze wszystkich stworzeń. To prawda, że my jakoś się przytrafiliśmy, ale... inna racjonalnie myśląca rasa? O, nie!

Murgatroyd potwierdził:

– *Chee!*

Miejskie wieżowce wyrastały coraz wyżej nad horyzontem. Potem, zupełnie nagle, szybko poruszająca się kawalkada, dojechała do granic miasta i wjechała pomiędzy pierwsze budynki.

To nie było normalne miasto. Same budynki nie były jakieś strasznie dziwaczne. Na ogół planety, poza nowo zasiedlonymi, mają jakąś swoją miejscową specyfikę architektoniczną, tak więc nie zaskoczyło go to, że wszystkie okna zwieńczone są przez jakieś potrójne łuki, albo że w ceglanych ścianach budynków mieszkalnych wbudowano jakieś kompletnie bezużyteczne filary. To akurat powodowało tylko, że miasto wydawało się mieć pewien indywidualny rys. Ale to miasto nie było normalne. Ulice nie były posprzątane. Dwa okna na trzy, były stłuczone. W mijanych budynkach Calhoun widział drzwi, które zostały wyłamane albo zniszczone, i nigdy ich nie naprawiono. To sugerowało panowanie niepowstrzymanej przemocy. Ulice były niemal puste. Na chodnikach, przed pędzącymi samochodami, można było zobaczyć sporadyczne postaci ludzkie, ale samochody nigdy koło nich nie przejeżdżały. Piesi natychmiast znikali za narożnikami ulic, albo chowali



się w drzwiach, zanim kawalkada zdołała do nich dojechać.

Budynki robiły się coraz wyższe. Na poziomie ulicy nadal było zupełnie pusto, ale tu i ówdzie, wiele pięter wyżej, pojawiały się wyglądające z okien głowy. Potem z góry zaczęły dolatywać głośnie okrzyki. Nie dało się określić, czy były to okrzyki wyzwania, szyderstwa, czy też rozpacz, ale kierowane były wyraźnie do pędzących samochodów.

Calhoun szybko obrzucił wzrokiem twarze otaczających go ludzi. Minister Zdrowia wyglądał w tej chwili na załamanego i rozgoryczonego. Szeft planetarnej policji wpatrywał się ponuro przed siebie. Skrzeki i wycia odbijały się kolejnymi echem, między ścianami budynków. Z okien zaczęły lecieć na dół różne rzeczy: butelki, garnki, patelnie. Od ścian odbijały się, spadające stołki i krzesła. Wszystkie rzeczy, które były luzem pod ręką, i które można było zrzucić na dół z okna, spadały na nich jak deszcz, ciskane przez ludzi zajmujących mieszkania na górnych piętrach. Razem z nimi dolatywały okrzyki, które teraz już z pewnością były przekleństwami.

Calhounowi przeszła do głowy myśl, że był kiedyś w historii taki okres, kiedy działania tłumu, nieodmiennie oznaczały płomienie. Ludzie często palili to, czego nienawidzili, albo czego się bali. Palili także ofiary religijne, dla najróżniejszych krwiożerczych bóstw. To naprawdę szczęście, nasza go cierpka refleksja, że ogień nie był już częścią powszechnego doświadczenia ludzkości, w przeciwnym razie płonący olej, albo pociski zapalające spadałyby już, na jadące ulicą samochody.

– Czy to wy cierpicie na ten brak popularności? – spytał swoich towarzyszy podróży. – Czy też to moja skromna osoba ma w tym swój udział? Czy dla jakiegś

grupy ludności jestem tutaj niemile widzianym gościem?

– Z pewnością jest pan niemile widziany przez paras – odparł zimnym tonem szef policji. – Paras zdecydowanie pana tutaj nie chcą. Jakikolwiek by nie były motywy ich działania, to na pewno należy do nich obawa, że Służba Medyczna mogłaby wymyślić sposób, aby przestali być paras. A oni chcą pozostać w takim stanie, w jakim są obecnie. – Jego wargi wykrzywiły się. – Ale to nie oni robią ten rozgardiasz. Zebraliśmy wszystkich, co do których byliśmy pewni, że nie są... zarażeni, w Centrum Rządowym. Ci ludzie zostali na zewnątrz. Nie jesteśmy ich do końca pewni. A więc oni uważają, że pozostawiliśmy ich tutaj, aby stali się paras, a to im się wcale nie podoba!

Calhoun ponownie zmarszczył brwi. To jeszcze bardziej wszystko gmatwało. Najpierw była mowa o infekcji, potem o nieznanymi stworzeniach przychodzących z zewnątrz, z dżungli, zmieniających ludzi w paras, a następnie kontrolujących ich tak jakby w przypadku opętania przez demona. Mało jednak było ludzkich fantazji, które by się nie zapisały gdzieś, kiedyś w aktach Służby Medycznej. Calhoun przypominał sobie coś, i robiło mu się od tego niedobrze. Było to coś podobnego do infekcji, i również coś podobnego do opętania przez diabła. W każdym razie, mogły być w to wplątane jakieś stworzenia, nie do końca usunięte z areny wydarzeń.

– Wydaje mi się – stwierdził, – że będę musiał porozmawiać z waszymi badaczami, zajmującymi się sprawą paras. Macie chyba jakichś ludzi, którzy pracowaliby nad tym problemem?

– Mieliśmy – odparł szef policji, z ponurą miną. Ale większość z nich zmieniła się w para. Myśleliśmy, że oni mogą być bardziej niebezpieczni, niż inni para, i

zastrzeliliśmy ich. Ale to nic nie dało. Paras ciągle się pojawiają, nawet w Centrum Rządowym! Obecnie, jedynie odsyłamy paras za południową bramę. Bez wątpienia oni sami chcą się tam wydostać — jako paras.

---

Przez jakiś czas w pędzących samochodach panowała cisza, pomimo dolatującego z zewnątrz harmideru wyc i przekleństw. Potem z góry dobiegły wrzaski radości ze spodziewanego sukcesu. Ogromny spadający mebel, jakiś tapczan, wydawało się że na pewno musi uderzyć w samochód, w którym jechał Calhoun. Ale kierowca ostro skręcił, wjechał na chodnik i tapczan rozleciał się na kawałki w pustym miejscu, w którym powinien znajdować się samochód. Samochód z powrotem zjechał z chodnika i popędził dalej.

Ulica skończyła się. W poprzek ulicy wyrastała wysoka murowana bariera. Zamykała dwupasmową jezdnię i łączyła ściany budynków mieszkalnych, po obu jej stronach. W barierze znajdowała się brama. Samochody prowadzące kolumnę rozjechały się na boki, podczas gdy wóz wiozący Calhouna i Murgatroyda przejechał przez nią, a za nim wjechały pozostałe. Po chwili wyrosła przed nimi kolejna bariera, tym razem zamknięta. Calhoun zauważył, że okna budynków mieszkalnych po bokach zostały zamurowane. Tworzyły wielopiętrową ścianę, oddzielającą wszystko co było poza nimi.

Ludzie z bariery zaczęli chodzić od samochodu, do samochodu, sprawdzając eskortę Calhouna. Minister Zdrowia wyjaśnił mu roztrzęsionym głosem:

– Każdy w Centrum Rządowym sprawdzany jest codziennie, co najmniej raz, czy nie zmienia się w

para. Ci którzy wykazują określone symptomy, kierowani są poza południową bramę. Wszyscy, włączając w to również mnie samego, muszą co dwadzieścia cztery godziny, otrzymać aktualny certyfikat.

Wewnętrzna brama otworzyła się na oścież. Samochód wiozący Calhouna wjechał przez nią do środka. Ściana budynków dookoła nich, zakończyła się. Znaleźli się na olbrzymiej pustej przestrzeni, niegdyś zapewne był to park w centrum miasta. Stały na niej budowle, które nie mogły być niczym innym, tylko budynkami rządowymi. Populacja tej planety nie była jednak zbyt duża. Gmachy nie były więc jakoś przesadnie wspaniałe. Dookoła nich porobiono przejścia i postawiono jakieś tymczasowe budynki, pośpiesznie sklecone do kupy, dla przyjęcia nagłego napływu ludzi.

A ludzi tutaj było naprawdę wielu. Akurat była piękna pogoda i słońce jasno świeciło, tak więc dokoła widać było pełno bawiących się dzieci i pilnujących je kobiet. W zasięgu wzroku znajdowało się również paru — nie za wielu — mężczyzn, ale większość z nich, stanowiły starsze osoby. Wszyscy młodzi mieli na sobie mundury, i szybkim krokiem przechodzili skądś dokądś. I, chociaż dzieci bawiły się wesoło, na twarzach osób dorosłych, widać było bardzo niewiele uśmiechów.

– Zakładam – powiedział Calhoun, – że to jest to Centrum Rządowe, w którym zgromadziliście panowie wszystkich w mieście, co do których byliście pewni, że byli normalni. Ale nie wszyscy z nich tacy pozostali. A wy zakładacie, że to niekoniecznie musi być infekcja, ale wynik czegoś, co zostało im zrobione przez... Coś.

– Wielu z naszych lekarzy tak właśnie myślało – przyznał Minister Zdrowia. Ale zmienili się oni w para.

Być może... te stworzenia uderzyły w nich, ponieważ byli blisko prawdy.

Jego głowa pochyliła się do przodu, spoglądając w okolice piersi. Szef policji, krótko oznajmił:

– Kiedy będzie pan chciał wrócić na swój statek, to proszę nam tylko powiedzieć, a my pana tam odtransportujemy. Jeżeli nie będzie pan w stanie niczego dla nas zrobić, będzie mógł pan chociaż ostrzec inne planety, aby nie wysyłały już do nas kolejnych statków.

Samochód zahamował przed jednym z tych pudełkowatych, pozbawionych ozdób budynków, w jakich w całej galaktyce sytuuje się laboratoria. Minister Zdrowia wysiadł z niego. Calhoun podążył za nim, niosąc Murgatroyda na ramieniu. Samochód odjechał, a Calhoun wszedł do budynku.

---

**W** drzwiach stał wartownik i funkcjonariusz policji. Sprawdził jednodniowy certyfikat zdrowia ministra. Po kilku rozmowach przez wizjo-fon, przepuścił Calhouna i Murgatroyda. Po pokonaniu niewielkiej odległości, zatrzymał ich kolejny strażnik. Nieco dalej, jeszcze jeden.

– Ostre zasady bezpieczeństwa – skomentował to wszystko Calhoun.

– Oni mnie znają – ciężko oznajmił minister, – ale pomimo tego zawsze sprawdzają mój certyfikat, czy w czasie od poranka, nie stałem się para.

– Widziałem już różne kwarantanny – zauważył Calhoun, – ale nigdy nie widziałem czegoś takiego. Nie w ramach ochrony przeciwko chorobie!

– To nie jest ochrona przeciwko chorobie – cichym głosem odparł minister. – To przeciwko Czemuś Inteligentnemu... z dżungli... czemuś, co wybiera

swoje ofiary kierując się rozumem, dla swoich własnych celów.

Calhoun stwierdził z dużą ostrożnością:

– Nie mogę na razie uznać istnienia czegoś więcej, niż samej dżungli.

W tym momencie Minister Zdrowia zastukał w drzwi i przepuścił przez nie przed sobą Calhouna. Weszli do ogromnego pomieszczenia, wypełnionego kompleksem biurek, kamer oraz przyrządów obserwacyjnych i rejestracyjnych, których wymaga badanie żywych organizmów. Sprzęt do badania martwych przedmiotów, ma zupełnie inny charakter. W połowie pomieszczenia, znajdowała się masywna szklana ściana, dzieląca całą salę na dwie części. Widać było, że po drugiej stronie szkła, umiejscowiona kiedyś była część laboratorium, w której obowiązywało środowisko aseptyczne, a teraz używana była jako izolatka.

Za szybą można było dojrzeć, chodzącego w tą i z powrotem jakiegoś człowieka. Calhoun domyślał się, że to musi być para, ponieważ praktycznie odcięto go całkowicie od reszty normalnych ludzi. Dostarczane mu do oddychania powietrze, w razie gdyby to się okazało potrzebne, mogło przed wprowadzeniem do komory aseptycznej, zostać rozgrzane niemal do temperatury białego żaru, a następnie ochłodzone. Tak samo powietrze usuwane stamtąd, również mogło być rozgrzewane do takiego stopnia, że niemożliwe było wydostanie się z laboratorium jakichkolwiek drobnoustrojów, czy ich form przetrwalnikowych. Usuwane odpadki, mogły być niszczone poprzez przejście przez łuk węglowy, po niezliczonych wcześniejszych procesach sterylizacyjnych. W takich pomieszczeniach, setki lat temu, hodowano rośliny z przesączonych środkami antyseptycznymi nasion i

piskłeta wylęgające się z pozbawionych zarazków jaj, a nawet małe zwierzęta przyjmowane przez aseptyczne cesarskie cięcie. Organizmy te miały żyć w środowisku w którym nie było żadnych żywych mikroorganizmów. Dzięki takim pomieszczeniom, ludzie dowiadywali się, że pewne typy bakterii, żyjące poza ludzkim ciałem, miały kluczowe znaczenie dla zdrowia człowieka. Ale ten człowiek nie zgłosił się na ochotnika do takiego badania.

Krażył w tą i z powrotem, zaciskając i rozwierając dłonie. Kiedy Calhoun i Minister Zdrowia weszli do zewnętrznego pomieszczenia, wpatrywał się w nich rozjarzonym wzrokiem. Przeklinał ich, chociaż niesłyszalnie, z powodu szklanej ściany. Nienawidził ich straszliwie, ponieważ nie byli w takiej sytuacji jak on. Ponieważ nie byli uwięzieni za grubą szklaną ścianą, przez którą można było obserwować każdy jego ruch i nieomal każdą jego myśl. W jego nienawiści było jednak jeszcze coś więcej. W oparach furii, tak wielkiej, że jego twarz wydawała się robić niemal purpurowa, nagle w sposób niekontrolowany ziewnął.

Calhoun zamrugał oczyma i zaczął się przypatrywać. Człowiek za szklaną ścianą ziewał raz za razem. Nie był w stanie tego powstrzymać. Jeżeli można było o czymś takim mówić, to wpadł on w paroksyzm ziewania, pomimo że jego oczy gorzały ze wściekłości, a pięść uderzała o pięść. Mięśnie odpowiedzialne za czynność ziewania, pracowały niezależnie od całej jego furii, która powinna to uniemożliwić. I wyraźnie był z tego powodu zawstydzony, a ponadto coraz bardziej tym rozwścieczony, w wyniku czego ziewał z większą gwałtownością, niż to wydawało się w ogóle możliwe.



– Znane są przypadki ludzi, którzy zwicznęli sobie szczękę, ziewając w ten sposób – obojętnym tonem stwierdził Calhoun.

Zza jego pleców przemówił jakiś uprzejmy głos.

– Ale jeżeli on wywicznie sobie szczękę, to nikt nie będzie mógł mu pomóc. On jest para. Nie możemy do niego wejść.

---

Calhoun odwrócił się. Stwierdził, że powyższą uwagą, wygłoszoną z przymilną, śliską łaskawością, obdarzył go jakiś mężczyzna noszący lśniące, grube okulary — a oczy tego człowieka musiały być naprawdę kiepskie, skoro nie mógł nosić szkieł kontaktowych — oraz mundur z symbolem kaduceusza na kołnierzyku. Był pulchny. Wręcz promieniał życzliwością. Był pierwszym człowiekiem, spośród wszystkich spotkanych przez Calhouna na tej planecie, który nie nosił na twarzy maski rozpacz, albo zawoalowanej nienawiści i gniewu.

– Pan jest ze Służby Medycznej – zauważył entuzjastycznie, rozpromieniony człowiek. – Ze Służby Medycznej, do której mogą być zgłaszane wszystkie problemy dotyczące zdrowia obywateli! Ale my tu mamy dla pana prawdziwy problem! Zaraźliwe szaleństwo! Urojenia przenoszące się między ludźmi! Epidemia obłędu! Zaraza czegoś niewypowiedzianego!

Minister Zdrowia przedstawił go nerwowo.

– Przedstawiam panu doktora Letta. Pan doktor był najlepszym z naszych lekarzy. Obecnie należy już niemal do ostatnich.

– Muszę zgodzić się z tym ostatnim zdaniem – uprzejmie potwierdził rozpromieniony człowiek, równie entuzjastycznym tonem, jak poprzednio. – Ale teraz Międzygwiazdowa Służba Medyczna, przysłała nam

kogoś, przed kim koniecznie muszę skłonić głowę! Kogoś, kogo wiedza, doświadczenie i wykształcenie, są tak nieskończenie większe od moich, że stoję przed nim straszliwie speszony! Jestem onieśmielony! I waham się, czy w ogóle powinienem wyrażać swoje opinie, w obecności kogoś tak wybitnego, jak funkcjonariusz Służby Medycznej!

Nie było to bynajmniej jakimś precedensem, że znakomity miejscowy lekarz przyjmował jako obraźliwe dla siebie, sugestie o pojawieniu się kogoś o większych umiejętnościach, czy wiedzy, niż jego własna. Ale ten człowiek wydawał się być nie tylko dotknięty. Zachowywał się wręcz szyderczo.

– Przybyłem tutaj – grzecznie odparł Calhoun, – na coś, co jak oczekiwałem, będzie ściśle rutynową wizytą. Powiedziano mi jednak, że macie panowie do czynienia z poważnym zagrożeniem zdrowia publicznego. Chciałbym więc zaoferować wszelką pomoc, jakiej jestem w stanie udzielić.

– Poważnym? – doktor Lett roześmiał się drwiąco. – Dla takich ciemnych lekarzy planetarnych, jak ja, ona jest po prostu beznadziejna! Ale, oczywiście, nie dla ludzi ze Służby Medycznej!

Calhoun pokręcił głową. Stosunki z tym człowiekiem, nie będą łatwą sprawą. Przywołał wszystkie swoje zasoby taktu. Ale sytuacja była poważna.

– Miałbym jedno pytanie – powiedział z udawaną skruchą Calhoun. – Powiedziano mi, że paras są szaleńcami. Wspominano również coś o ich podejrzliwości i tajemniczości, co sugeruje paranoję schizoidalną, i — jak się domyślam — określenie para, służy do opisu tych, którzy dotknięci są taką właśnie przypadłością.

– To nie jest żadna forma paranoi – pogardliwie oznajmił planetarny lekarz. – Paranoja związana jest z podejrzliwością wobec wszystkich. Paras gardzą zaś i podejrzewają jedynie normalsów. Paranoja związana jest poczuciem wyższości, i nie jest dzielona pomiędzy różnymi osobnikami. Paras wobec siebie nawzajem są przyjaznymi towarzyszami. Z chęcią współpracują między sobą, zwłaszcza w próbach odmienienia normalsów, i uczynienia nas podobnymi do nich. Paranoik nigdy nie zgodziłby się, aby ktoś dzielił jego wielkość!

Calhoun zastanowił się przez moment, a potem przyznał mu rację.

– Po tym, jak pan to wszystko powiedział, muszę się zgodzić z pana opinią. Ale moje pytanie nadal pozostaje bez odpowiedzi. Szaleństwo związane jest z urojeniami. A paras potrafią się zorganizować. Przygotowują plany, i odgrywają w nich różne role. Działają w sposób racjonalny, w realizacji celów, co do których się zgadzają — takich jak zabicie mnie. W jaki jednak sposób, mogą oni działać racjonalnie, jeżeli mają urojenia? Jakiego rodzaju urojenia więc mają?

Minister Zdrowia odparł niepewnym głosem:

– Jakikolwiek tylko zasugerują im potwory z dżungli! Ja... ja nie mogę tego już słuchać, doktorze Lett. Nie chcę też na to patrzeć, jeżeli zamierza pan to zademonstrować!

Człowiek w grubych okularach odprawił go machnięciem ręką. Minister Zdrowia pośpiesznie wyszedł. Doktor Lett roześmiał się smutno.

– Nie nadawałby się do medycyny. Tutaj, w tym aseptycznym pomieszczeniu mamy para. Jest niezwykle przydatnym okazem do badań. Był moim asystentem, i znałem go, kiedy jeszcze był zdrowy.

Teraz poznałem go, jako para. Pokażę panu, na czym polegają jego urojenia.

Podszedł do małego inkubatora dla hodowli kultur i otworzył drzwiczki. Zaczął coś grzebać w środku. Z namaszczeniem oznajmił, mówiąc przez ramię, do tyłu:

– Pierwsi osadnicy, mieli mnóstwo problemów, z ustanowieniem na tej planecie systemu ekologicznego, przyjaznego dla ludzi. Tutejsze rośliny i zwierzęta, były bezużyteczne. Musiano wobec tego, zastąpić je stworzeniami kompatybilnymi z ludźmi. Potem napotkano kolejne kłopoty. Nie było tutaj żadnych użytecznych padlinożerców — a padlinożercy mają kluczowe znaczenie! Szczur jest zazwyczaj niezawodny, ale szczury na Tallien nie przyjęły się za dobrze. Sępy... nie. Oczywiście, że nie. Żuki skara-beusze... Muchy, które dają larwy, wykonujące taką wspaniałą robotę przy usuwaniu odpadów... Na Tallien Trzy, nic nie chciało się dobrze rozwijać! A padlinożercy, zazwyczaj są również wyspecjalizowani! Ale przecież kolonia nie mogłaby dalej istnieć bez padlinożerców! A więc nasi przodkowie zaczęli przeszukiwać inne planety, aż w końcu znaleźli pewne stworzenie, które mogło rozmnażać się tutaj w dużych ilościach i ze wspaniałą wszechstronnością, żerować na odpadach z naszych ludzkich miast. To prawda, że śmierdziało ono, jak pewne pradawne zwierzę z Ziemi, nazywane skunksem — merkaptanem butylu. Nie było też specjalnie ładne — dla większości oglądających, wyglądało wręcz obrzydliwie. Ale było ono padlinożercą i nie było żadnego produktu odpadowego, które go by nie pożerało.

Doktor Lett odwrócił się od inkubatora kultur. W rękę trzymał plastikowy pojemnik. Dolatywał z niego słaby, ale naprawdę obrzydliwy odór.



– Pyta pan na czym polegają urojenia paras? – uśmiechnął się kpiąco. Wyciągnął w jego stronę rękę z pojemnikiem. – Polegają one na tym, że uroili sobie, że ten padlinożerca, zjadacz nieczystych rzeczy, ten trudny nawet do opisania kawałek szlamowatego, wijącego się mięcha... paras uroili sobie, że to jest jedna z najbardziej smakowitych rzeczy do jedzenia!

Podsunał plastikowy pojemnik, tuż przed nos Calhouna. Calhoun nie był w stanie nawet wciągnąć oddechu, dopóki pozostawał on w tym miejscu. Doktor Lett stwierdził z żartobliwym podziwem:

– Ach! Ma pan mocny żołądek, taki jaki powinien mieć prawdziwy lekarz! Urojenie paras polega na tym, że te skręcające się, wijące stworzenia są przepyszne! Paras czują na nie nieodpartą ochotę! To tak, jakby człowiek na Ziemi, czuł niekontrolowany głód pożerania sępów, szcurów, czy też nawet dużo mniej tolerowalnych stworzeń. Ci padlinożercy... paras je jedzą! Tak więc normalny człowiek wolałby raczej umrzeć, niż stać się para!

Calhoun zacisnął usta, z czysto instynktownym obrzydzeniem. Stworzenia w plastikowym pojemniku były szare i małe. Gdyby chociaż były nieruchome, nie byłoby to może gorsze, niż widok surowych ostryg w koktajlu. Ale one wiły się. Skręcały się.

– Pokażę panu – przyjaźnie zaproponował doktor Lett.

Odwrócił się w stronę szklanej płyty, która dzieliła pomieszczenie na dwie połowy. Człowiek za grubą szklaną szybą, teraz z niecierpliwością przyciskał do niej swoją twarz. Spoglądał na pojemnik, z okropnym, pożądlivym pragnieniem. Mężczyzna w grubych okularach zacmokał na niego, tak jakby zwracał się do zamkniętego w klatce zwierzęcia, które próbował uspokoić. Człowiek za szkłem, histerycznie ziewnął.

Zdawał się wręcz popiskiwać z niecierpliwości. Nie mógł oderwać oczu od znajdującego się w dłoniach lekarza pojemnika.

– A więc! – zapowiedział doktor Lett.

Nacisnął jakiś przycisk. Otworzyły drzwiczki od małej śluzy w szklanej ścianie. Włożył pojemnik do środka. Drzwiczki zamknęły się. Zanim drzwiczki po drugiej stronie zostaną otwarte, śluza mogła zostać wysterylizowana. Teraz jednak wszystko było ustawione na automatyczną samo-sterylizację w drugą stronę, aby zapobiec skażeniu przy wyjmowaniu czegoś spoza szkła.

Człowiek za szkłem, wydawał z siebie jakieś niesłyszalne krzyki. Przepęłniała go niemal, zwierzęca, niekontrolowana niecierpliwość. Krzyknął coś, poganiając mechanizm śluzy przeciw-skażeniowej, podobnie jak dzikie zwierzę mogłoby ryczeć na otwór przez który do jego klatki wrzucane jest jedzenie.

Śluza w końcu utworzyła się, wewnątrz pomieszczenia oddzielonego szklaną ścianą. Plastikowy pojemnik znalazł się w środku. Człowiek dosłownie rzucił się na niego. Pożerał jego zawartość, a Calhoun zaczynał dostawać mdłości. Ale w miarę jak para żarł, wpatrywał się z nienawiścią na dwójkę która go — razem z Murgatroydem — obserwowała. Nienawidził ich z żarliwością, powodującą, że wyszły mu aż żyły na skroniach, a furia zaczerwieniła jego skórę.

Calhoun poczuł, że blednie. Odwrócił oczy od tego widoku i uczciwie przyznał:

– Nigdy wcześniej, czegoś takiego nie widziałem

– To coś nowego, co? – stwierdził doktor Lett, ze swoistym poczuciem dumy. – To jest faktycznie coś nowego! Ja... nawet ja... odkryłem coś, o czym nie słyszała Służba Medyczna!



– Wcale nie powiedziałem, że Służba Medyczna nie słyszała o podobnych sprawach – powoli oznajmił Calhoun. – Zdarzają się... czasami... na bardzo niewielką skalę... dziesiątki lub może setki ofiar... zdarzają się czasami przypadki podobnej irracjonalnej żarłoczności. Ale na skalę planetarną? Nie... nigdy jeszcze nie było epidemii... takich rozmiarów.

Nadal wyglądał na zniesmaczonego i wstrząśniętego. Jednak zapytał:

– Jaki jest skutek tego... apetytu? Co to daje para? Jakie zmiany w... powiedzmy... stanie zdrowia człowieka pojawiają się, po jego przemianie w para?

– Nie ma żadnych zmian – uprzejmie odparł doktor Lett. – Nie chorują specjalnie, ani nie umierają, z tego powodu że stali się paras. Ich stan jako taki, nie jest bardziej nienormalny niż... niż cukrzyków! Diabetycy potrzebują insuliny. Paras... czegoś innego. Ale przeciwko temu, czego potrzebują paras, istnieją silne uprzedzenia! To tak, jakby niektórzy ludzie woleli raczej umrzeć, niż zażyć insulinę, a ci którzy chcą jej używać, stawali się wyrzutkami! Nie mówiąc już o tym, co podobno powoduje u nich ten stan. Już nawet się nie sprzeciwiam, kiedy Minister Zdrowia wierzy, że z dżungli zakradają się jakieś stworzenia i... zmieniają ludzi w paras. – Zmierzył wzrokiem wyraz twarzy Calhouna. – Czy pańskie doświadczenia ze Służby Medycznej pozwalają panu zgodzić się ze mną?

– Nie-e-e – zastanawiał się Calhoun. – Obawiam się, że może to stanowić podbudowę dla idei potwornej przyczyny, ale tego naprawdę nie można uznać za coś bliźniaczo podobnego do cukrzycy.

– Ale tak przecież jest! – upierał się Lett. – Wszystkie jadalne stworzenia, niezależnie od tego jak bardzo nieapetyczne wydają się współczesnemu człowiekowi, kiedyś dla rozmaitych szczepów ludzi

pierwotnych, stanowiły część normalnej diety! Nawet prehistoryczni Rzymianie, zjadali koszatki gotowane w miodzie! Dlaczego fakt, że potrzebna rzecz, akurat okazała się być padlinożercą...

– Rzymianie nie szaleli z żądzy za koszatkami – nie zgodził się Calhoun. – Mogli je jeść, albo dać sobie z nimi spokój.

Mężczyzna za grubym szkłem przyglądał się dwójce ludzi w zewnętrznej części laboratorium, rozjarzonymi z nienawiści oczyma. Nienawidził ich w sposób niemożliwy do zniesienia. Zaczął na nich wrzeszczeć. Z powodu tej nienawiści, aż mu wyszły naczynia krwionośne na skroniach. Przeklinał ich.

---

– **C**hciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę – powiedział doktor Lett. – Nalegałbym na pełną współpracę ze strony Międzygwiazdnej Służby Medycznej. Jestem obywatelem tej planety, i to niepozbawionym pewnych wpływów. Chciałbym jednak, aby moja praca została zaaprobowana przez Służbę Medyczną. Przypominam tutaj, że na pewnych terytoriach na antycznej Ziemi, dla zapobieżenia przerostowi tarczycy i kretynizmowi, do zbiorowych systemów dostarczania wody, dodawana była jodyna. W celu zapobieżenia próchnicy, do wody pitnej dodawany był fluor. Na Tralee wodociągi publiczne dostarczają dodawanych do wody, śladowych ilości cynku i kobaltu. Są one niezbędnymi mikroelementami. Dlaczego więc nie chce pan przyznać, że są pewne mikroelementy i pierwiastki śladowe, niezbędne...

– Widzę że zależy panu, abym przyznał coś takiego – stanowczo odparł mu Calhoun. – Ale ja nie mogę czegoś takiego zrobić, bez dodatkowych wyjaśnień... i

to dotyczących wielu spraw. Paras są szaleńcami, ale potrafią się organizować. Symptodem domniemanego niedoboru jest gwałtowne ziewanie. Ten... stan ujawnił się dopiero sześć miesięcy temu. Planeta została skolonizowana przed trzystu laty. To nie może być niezbędny z naturalnych powodów związek śladowy.

Doktor Lett wzruszył ramionami, elokwentnie i pogardliwie.

– A więc nie chce pan przyznać tego, co poświadczy cała ta planeta – oznajmił szorstko. – Moja szczepionka...

– Nie powinien pan określać tego jako szczepionki, jeżeli myśli pan, że dostarcza brakujących substancji, związanych z jakimiś specjalnymi potrzebami mieszkających na Tallien ludzi. Czy mógłby pan dostarczyć mi niewielkiej ilości tej pańskiej... szczepionki?

– Nie – uprzejmie odmówił doktor Lett. – Obawiam się, że nie jest pan specjalnie skłonny do współpracy. Te niewielkie ilości mojej szczepionki, jakie są na razie dostępne, niezbędne są dla wysokich urzędników, którzy za wszelką cenę muszą być chronieni przez przemianą w stan para. Jednak jestem już przygotowany do jej produkcji na większą skalę, dla całej populacji. Wtedy, zobaczę, być może będę mógł panu oferować tyle, ile pan potrzebuje.

Wydawało się, że Calhoun zastanawia się nad czymś.

– Nie – przyznał po chwili. – Nie jestem jeszcze gotowy do tego, by z panem współpracować, doktorze Lett. Dręczy mnie takie jedno brzydkie podejrzenie. Podejrzewam, że przez cały czas nosi pan przy sobie odrobinę pańskiej szczepionki. Że nie może pan znieść nawet myśli, że nie będzie miał jej pan pod ręką, jeżeli

będzie jej pan potrzebował. Mówię o tym, ponieważ jest to pewien symptom, podobnego stanu. Innego rodzaju... nienormalnej żarłoczności.

Doktor Lett wcześniej zachowywał uprzejmy i kpiąco roześmiany wyraz twarzy. Ale teraz, nagle, rozbawienie zniknęło z jego oblicza.

– A teraz... proszę wyjaśnić, co pan chciał przez to powiedzieć? – domagał się odpowiedzi.

Calhoun skinął głową w stronę znajdującego się za szklaną ścianą para.

– Doktorze Lett, ten biedny pechowiec, tak ziewał, że niemal wywracał sobie twarz na drugą stronę, zanim dał mu pan tę jego potrawkę z padlinożerców. Czy pan ziewał kiedyś może w podobny sposób... i teraz musi pan być pewien, że zawsze ma pan przy sobie swoją szczepionkę, aby to powstrzymać? Czy nie jest pan może para, doktorze Lett? A tak prawdę mówiąc, to czy nie jest pan może, tą tajemniczą, potworną przyczyną... powstawania paras?

– *Chee! Chee! Chee!* – zawołał z wielkim ożywieniem Murgatroyd, ponieważ doktor Lett wyszarpnął skądś skalpel do sekcji, i sprężył się, by skoczyć na Calhouna. Ale Calhoun spokojnie powiedział:

– Spokojnie, Murgatroyd! Ten pan nie zrobi niczego nierozsądnego!

W rękę trzymał blaster, wycelowany prosto w największego i najlepszego lekarza na Tallien Trzy. A doktor Lett nie zrobił niczego nierozsądnego. Ale jego oczy płonęły furją człowieka obłąkanego.

---

### III

Pięć, najwyżej dziesięć minut później, Calhoun wyszedł na korytarz koło laboratorium, po którym z nieszczęśliwą miną na twarzy, krążył w tą i z powrotem, Minister Zdrowia. Minister wyglądał na bladego i chorego, tak jakby sam sobie wyobraził demonstrację, przedstawioną Calhounowi przez Letta. Unikał wzroku Calhouna. Z niepokojem oznajmił:

– Teraz chciałbym pana zabrać do Prezydenta Planety.

– Nie – odparł Calhoun. – Otrzymałem od doktora Letta sporo bardzo obiecujących informacji, i najpierw chciałbym wrócić na mój statek.

– Ale pan prezydent czeka już, żeby się z panem zobaczyć! – zaprotestował Minister Zdrowia. – Jest pewna sprawa, którą chciałby przedyskutować!

– A ja chciałbym najpierw – stwierdził Calhoun, – mieć coś, co mógłbym z nim przedyskutować. Za tą sprawą z para, stoi inteligentna istota. Nazwałbym ją nawet inteligencją demoniczną. Chciałbym wrócić na swój statek i sprawdzić informacje, jakie otrzymałem od doktora Letta.

Minister Zdrowia zawahał się, a następnie pośpiesznie ponowił prośbę:

– Ale prezydent niezmiernie się niepokoi...

– Czy mógłby pan – przerwał grzecznie ale zdecydowanie Calhoun, – zorganizować dla mnie samochód, abym został odwieziony z powrotem na mój statek?

Minister Zdrowia otworzył usta i zamknął je. Potem powiedział przepaszającym, i jak wydawało się Calhounowi, lekko wystraszonego tonem:

– Doktor Lett był naszą jedyną nadzieją na pokonanie tej... epidemii. Prezydent i jego gabinet,

uznali że muszą... dać mu pełną swobodę. Nie było żadnej innej nadziei! Nie wiedzieliśmy przecież, że pan tu przyleci. Tak więc... Doktor Lett życzył sobie, aby spotkał się pan z panem prezydentem, kiedy już pan wyjdzie od niego. To nie zajmie zbyt dużo czasu!

Calhoun ponuro stwierdził:

– A więc aż tak bardzo już was tutaj wystraszył? Zaczynam podejrzewać, że nawet nie ma sensu, abym z panem dyskutował.

– Załatwię panu samochód i kierowcę, zaraz jak tylko zobaczy się pan z panem prezydentem. To tylko taka drobna rzecz...

Calhoun warknął w duchu i ruszył w stronę wyjścia z budynku laboratorium. Minał wartowników. Potem wyszedł na zewnątrz. Rozejrzał się po szerokiej otwartej przestrzeni, pełniącej niegdyś funkcję miejskiego parku i otoczenia budynków rządowych na Tallien Trzy. Nieco dalej wesoło bawiły się dzieci. Ale dookoła kręciły się kobiety, które pilnowały je z wielkim niepokojem. To miejsce służyło jako schronienie dla ludzi z absolutną pewnością uważanych za wolnych od syndromu para. Wysokie budynki otaczały obszar, który niegdyś był cichy i otwarty dla wszystkich obywateli planety. Obecnie jednak te budynki zostały przekształcone w mury, mające zamknąć to miejsce przed wszystkimi, poza wybranymi — a ci wybrani wcale nie czuli się lepiej z tego powodu, że ktoś ich wybrał.

– Do głównego budynku, po tamtej stronie – powiedział minister, jednocześnie tonem ponagląjącym, wystraszonym i pełnym perswazji.

– Ja nadal – odparł Calhoun, – nie chcę tam iść.

Pokazał Ministrowi Zdrowia blaster, który zaledwie parę minut temu, wycelował w doktora Letta.

– To jest blaster – stwierdził łagodnie. – Nastawiony jest na niski zakres mocy, tak więc niekoniecznie musi kogoś zabić, albo coś przepalić. Takie ustawienia, używane są przez policję w przypadku zamieszek. Przy odrobinie szczęścia, najwyżej pana ogłuszy. Ja użyłem go na osobie doktora Letta – dodał pozbawionym emocji głosem. – On jest para. Czy pan o tym wiedział? Ta szczepionka, którą podawał kilku wysoko postawionym urzędnikom, podobno po to, aby chronić ich przed zmianą w para — ona zaspokaja monstrualną żądę jedzenia para, bez zmuszania ludzi do jedzenia padlinożerców. Ale ona także przyczynia się do rozwoju tego żarłoczności. Tak faktycznie, to jest to jest jeden ze sposobów, w jaki powstają para.

Minister Zdrowia wpatrywał się oniemiały w Calhouna. Jego twarz zrobiła się dosłownie szara. Próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie.

Calhoun dodał jeszcze, w podobnie pozbawiony emocji sposób, jak poprzednio:

– Zostawiłem doktora Letta w jego laboratorium, nieprzytomnego, powalonego przez wyładowanie z blastera o niskiej mocy. On dobrze wiedział, że jest para. Prezydent również jest para, ale dzięki dostawom „szczepionki”, może sobie wmawiać coś zupełnie innego. Ale wystarczyło tylko spojrzeć na pańską twarz, abym zorientował się, że pan nie ma zamiaru wmawiać sobie już niczego, nawet przez chwilę. Pan również jest para.

Minister Zdrowia wydał z siebie jakiś nieartykułowany dźwięk. Dosłownie wykręcił sobie ręce.

– Tak więc – podsumował Calhoun, – chcę dostać się z powrotem na mój statek, i zobaczyć co mogę zrobić z tą „szczepionką”, którą zabrałem doktorowi Lettowi. Czy pomoże mi pan, czy nie?



Minister wydawał się kurczyć w sobie. Ponownie wykręcił sobie rękę. Wtedy nagle zahamował jakiś samochód, który zatrzymał się pięć stóp od nich. Wyskoczyło z niego dwóch umundurowanych mężczyzn. Pierwszy z nich próbował wyszarpnąć blaster, wiszący w kaburze przy biodrze.

– Jest ten *tormal!* – ostro warknął. – To ten człowiek, w porządku!

Calhoun trzy razy nacisnął spust swojego blastera. Ponieważ broń była ustawiona na zakres o niskiej mocy, tylko jęknęła, zamiast trzasnąć. Minister Zdrowia bezwładnie upadł. Zanim jeszcze dotknął ziemi, stojący bliżej umundurowany mężczyzna, zdawało się że zastygł z na wpeł wyciągniętym blasterem. Trzeci z mężczyzn pochylił się i przewrócił.

– Murgatroyd! – ostro zawołał Calhoun.

– *Chee!* – ostro pisnął Murgatroyd. Wskoczył do samochodu, siadając koło Calhouna.

---

**S**ilnik samochodu zapiszczał głośno, startując z wizgiem po gwałtownym załączeniu zasilania przez Calhouna. Samochód ostro ruszył, zostawiając za sobą trzy bezwładnie leżące na ziemi ciała. Nie wzbudziło to żadnego bezpośredniego zainteresowania. Atmosfera w Centrum Rządowym, nie była tak do końca normalna. Ludzie spoglądali na nich z niepokojem. Ale zanim ktokolwiek się ruszył, Calhoun był już poza zasięgiem ich wzroku.

– Co za diabelna głupota – wyrzucał sobie Calhoun, skracając prawo, jak prowadziła droga, – te moje skrupuły! Gdybym z zimną krwią zabił Letta, byłaby to jedyna nadzieja, na jaką mogą liczyć ci ludzie. Być może pozwoliliby mi potem na to, żebym im pomógł!

Pokonał kolejny zakręt. Tu i ówdzie stały porozrzucane budynki, i ciągle jeszcze miejsce w którym ogłuszył trzech mężczyzn, znajdowało się zaledwie tuż poza zasięgiem wzroku. Naprawdę zdumiało go, że działania podjęte zostały tak szybko, zaraz po tym jak Lett odzyskał przytomność. Z pewnością nie minął jeszcze nawet kwadrans, od kiedy Calhoun zostawił go w laboratorium. Strzał niskiej mocy z blastera, musiał go oszołomić co najmniej na kilka minut. Ale natychmiast po tym jak odzyskał przytomność, musiał wydać rozkazy schwytania lub zabicia człowieka, któremu towarzyszyło wszędzie małe zwierzę, *tormal*. I rozkazy te, zostałyby szybko wykonane, gdyby przypadkiem akurat Calhoun nie miał w ręku, swojego własnego blastera.

Ale najbardziej przerażającą rzeczą, była cała ta sytuacja, która obecnie stała się już zupełnie jasna. Ludzie z Centrum Rządowego, zmienili się w para, i doktor Lett miał za sobą całkowite poparcie rządu. Tak właściwie, to na czas trwania sytuacji kryzysowej, on sam pełnił funkcję rządu. Jednak mógł pełnić funkcję rządu tylko dlatego, że wszyscy ludzie zajmujący najwyższe stanowiska byli paras, którzy mogli ukrywać swój stan jedynie tak długo, dopóki pozwalał im na to doktor Lett. Calhoun był w stanie wyobrazić sobie organizację społeczną, jakiej należało tutaj oczekiwać. Na jej czele musiał stać tyran, monarcha absolutny. Całkowicie ulegli obywatele, mogli otrzymywać swoje dawki szczepionki, która utrzymywała ich w „normalnym” stanie, tak długo dopóki zadowalali swojego władcę. Każdy kto by się ośmielił rzucić mu wyzwanie, albo nawet chciałby próbować ucieraczki, zmieniłby się w kogoś zarówno szalonego, jak i odpychającego, stając się ofiarą

potwornej i nieodpartej żarłoczności. A tyran mógłby nawet nie dopuścić do jego zaspokojenia. Tak więc obywatele na Tallien Trzy stali przed ostatecznym wyborem między niewolnictwem i szaleństwem, dla siebie samych i swoich rodzin.

Calhoun skręcił za rządowy budynek i wyjechał ze znajdującego się za nim parkingu. To oczywiste, że nie mógł opuścić Centrum Rządowego drogą, którą do niego wjechał. Jeżeli nawet Lett wcześniej nie rozkazał, aby go zatrzymać, to musiał takie polecenia wydać obecnie. A Murgatroyd był absolutnie pewnym elementem identyfikacyjnym.

Na kolejnym rogu ponownie skręcił, zsuwając Murgatroyda z siedzenia na podłogę, tak aby nie było go widać. Skręcił jeszcze raz, i jeszcze raz... Potem usilnie próbował sobie przypomnieć, gdzie na planecie umiejscowiona była linia zachodu słońca, kiedy czekał na podjęcie przez sieć lądowniczą. Oceniał, że minęło półtorej godziny, może dwie, odkąd stanął na ziemi. Składając razem obie dane, mógł określić miejscowy czas. Powinien być już środek popołudnia. Tak więc cienie powinny padać na północny wschód, w stosunku do rzucających je obiektów. Czyli...

Żadną drogą nie jechał prosto dłużej niż przez kilkadziesiąt sekund. Ale obecnie, kiedy mógł skręcić w różne strony, wybierał kierunek jazdy z celowy sposób. Kluczył i kręcił dookoła — w pewnej chwili niemal wjechał w dzieci, grające w jakąś rytualną grę — ale łącznie licząc, nieustannie posuwał się na południe. Paras byli wyrzucani przez południową bramę. Tylko ta brama, dawała więc jakąś szansę, aby można było wydostać się stąd bez kontroli.

Znalazł bramę. Jak zwykle od lewej i od prawej ograniczały ją wysokie budynki. Samo przejście utworzone było przez betonowe ściany, zbiegające się pod skosem, do furtki na zewnątrz, o szerokości nie większej niż drzwi wejściowe do domu. W pewnej odległości od bramy stały cztery ciężarówki o podwyższonych bocznych ścianach, z uzbrojonymi policjantami na platformach ładunkowych. Znajdowały się tutaj po to, aby upewnić się, że kierowani na zewnątrz paras, albo ci którzy wychodzili stąd z własnej woli, kiedy zorientowali się w swoim stanie, nie wrócą już do środka.

Zatrzymał samochód i schował Murgatroyda pod płaszczem. Z ponurą miną powędrował w stronę wąskiego wyjścia. To był hazard z gatunku tych najbardziej ryzykownych, ale był to jedyny sposób, jaki zdołał wymyślić. Oczywiście, mógł zginąć, jeżeli ktokolwiek powziął podejrzenie, że będzie próbował wydostać się stąd, którąkolwiek bramą.

Szedł jednak naprzód, nie zaczepiany przez nikogo. W miarę jak oddalał się coraz bardziej od ciężarówek i policjantów, którzy z pewnością zastrzeliliby go natychmiast z blasterów, gdyby domyślili się kim jest, betonowe ściany rosły coraz wyżej i wyżej. Zmieniły się w zadaszone przejście, które zakręcało, tak że nie można było jednocześnie widzieć całej jego długości. Potem... ponownie znalazł się na otwartej przestrzeni.

Nie mogło być chyba mniej dramatycznej rzeczy, jak jego ucieczka. Po prostu wyszedł na zewnątrz. Nie mogło być chyba bardziej zwyczajnej rzeczy niż jego pojawienie się w mieście, na zewnątrz Centrum Rządowego. Znalazł się na zwykłej miejskiej ulicy, dosyć wąskiej, z otaczającymi go dookoła zwykłymi budynkami, których okna były albo zamurowane, albo rozbite. Przy ścianie jednego z tych budynków,

znajdowały się ławki, na których rozsiadło się czterech czy pięciu ludzi, kompletnie nieuzbrojonych. Kiedy Calhoun wyłonił się z wyjścia, akurat jeden nich popatrzył do góry i wstał. Drugi z mężczyzn odwrócił się, by zająć się czymś, co stało za nim. Nie byli jacyś specjalnie ponurzy. Nie wykazywali żadnych oznak szaleństwa. Calhoun już wcześniej zorientował się, że ta szaleńcza żądza jedzenia, pojawiała się jedynie od czasu do czasu, wyłącznie w określonych odstępach, które prawdopodobnie mogły być zawczasu przewidziane. Pomiedzy jednym atakiem potwornego głodu, a drugim, para mógł wyglądać, zachowywać się, i tak naprawdę być, równie zdrowy psychicznie, jak każdy inny człowiek. Z pewnością doktor Lett, prezydent i członkowie jego gabinetu, którzy byli para, potrafili zachowywać się w przekonujący sposób, tak jakby zupełnie nic im nie było.

Jeden z siedzących na ławce mężczyzn kiwnął ręką.

– Tutaj – powiedział zdawkowo.

Murgatroyd wystawił łepkę z kurtki Calhouna. Obrzucił tych niedbale ubranych ludzi, pełnym podejrziwości spojrzaniem.

– Co to jest? – zapytał jeden z oczekującej piątki.

– Zwierzę domowe – krótko odparł Calhoun.

Stwierdzenie to obyło się bez komentarzy. Mężczyzna wstał i podniósł mały zbiornik z węzem. Rozległo się syczenie. Z rozpylacza wyleciała lekka mgiełka. Calhoun wyczuł zapach organicznego rozpuszczalnika, dosyć szeroko stosowanego.

– To środek dezynfekujący – wyjaśnił człowiek z rozpylaczem. – W przypadku, gdybyś tam w środku złapał jakąś chorobę.

Stwierdzenie ewidentnie miało standardowy charakter, i kiedyś musiało mieć delikatnie ironiczny

wydźwięk. Ale potem powtarzane było tyle razy, że straciło już wszelkie znaczenie, za wyjątkiem tego odbieranego przez Calhouna. Jego ubranie na chwilę załśniło, kiedy kropelki rozpylonej cieczy osiadły na włókienkach tkaniny. Następnie natychmiast wyschło. Pozostała tylko słabiuteńka reszтка, podobna do otoczki niewyczuwalnego pyłu. Calhoun domyślił się znaczenia tego gestu i jego wydźwięk wydawał się nie do zniesienia. Ale między kolejnymi zaciśnięciami pięści, zapytał:

– Dokąd mam pójść?

– Gdziekolwiek chcesz – odparł pierwszy z mężczyzn. – Nikt nie będzie ci wchodził w paradę. Niektórzy z normalsów będą próbowali cię powstrzymać przed zbliżaniem się do nich, ale możesz robić wszystko, na co tylko będziesz miał ochotę. – Dodał obojętnie: – Oni zresztą również. Tutaj, na zewnątrz, nie ma żadnej policji!

Podszedł z powrotem do ławki, i usiadł na niej. Calhoun ruszył dalej.

---

**K**łębiące się w jego sercu uczucia były trudne do zniesienia, ale musiał podążać dalej, realizując swój plan. Nie wydawało się specjalnie prawdopodobne, by odpowiednie instrukcje mogły już rozejść się po organizacji para. Taka jednak przecież istniała. Musiała istnieć. Ponadto, mogli zacząć go ścigać, nawet pomimo niewielkiego prawdopodobieństwa, że udało mu się wydostać się z obszaru Centrum Rządowego. Jeszcze nie teraz, ale już wkrótce.

Ruszył dalej ulicą. Doszedł do pierwszego skrzyżowania i skręcił w bok. W zasięgu wzroku ponownie po ulicy poruszało się bardzo niewiele osób. Na odcinku jednej przecznicy, widać było może

jednego pieszego. Wszystko wyglądało tutaj zupełnie tak samo, jak w tamtej części miasta, którą oglądał jadąc samochodem. Z pozycji pieszego, wrażenie było niemal identyczne. Okna również były porozbijane. Drzwi powyłamywane. Śmieci na ulicach...

Nikt z przechodniów, których widział, nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, ale pomimo tego trzymał Murgatroyda schowanego. Ludzie, zmierzający w jego stronę, nigdy do końca do niego nie dochodzili. Skręcali w inne ulice, albo chowali się w domach. Ci, którzy poruszali się w tym samym kierunku, nigdy nie pozwalali się dogonić. Oni również skręcali za róg ulicy, albo wślizgiwali się za drzwi. To musieli być, jak uświadomił sobie beznamiętnie Calhoun, ludzie, którzy ciągle uważali się za normalsów, wychodzący na zewnątrz w desperackiej potrzebie zdobycia żywności i beznadziejnie próbujący nie przynieść do domu zarazy, aby nie sprowadzić jej na tych, dla których ta żywność była przeznaczona. Calhouna ogarnęła straszliwa wściekłość, że takie rzeczy w ogóle mogły się wydarzyć. On sam został czymś opryskany z rozpylacza... A doktor Lett podsunął mu pod nos ten plastikowy pojemnik, żeby go powąchał... Wstrzymał wtedy co prawda oddech, ale nie mógł przecież powstrzymać się od oddychania zupełnie. Miał trochę czasu, i musiał go wykorzystać, zanim...

Zmusił się do tego, aby skierować swoje myśli z powrotem do chwil, kiedy Statek Medyczny znajdował się na wysokości dwudziestu mil, potem dziesięciu, i pięciu. Oglądał przecież powierzchnię ziemi przez teleskop elektronowy, i teraz przywołał w myślach obraz miasta z powietrza. Widział je równie wyraźnie, jak mapę. Mógł zorientować się w terenie. Mógł określić miejsce, w którym się znajdował.



W pewnej odległości przed nim zatrzymał się jakiś samochód. Wsiadł z niego człowiek, z rękoma pełnymi tobołków, w których musiało być jedzenie. Calhoun poderwał się do biegu. Mężczyzna próbował schować się za drzwiami, zanim Calhoun do niego dobiegnie. Ale nie chciał zostawić nawet odrobiny jedzenia.

Calhoun pokazał mu swój blaster.

– Jestem para – spokojnie powiedział, – i chcę ten samochód. Daj mi kluczyki, a będziesz mógł zachować swoje jedzenie.

Mężczyzna zajęczał. Potem upuścił kluczyki na ziemię. Uciekł do domu.

– Dzięki – uprzejmie odezwał się Calhoun do pustego powietrza.

Zajął miejsce w samochodzie. Ponownie posadził Murgatroyda na podłodze, tak aby nie było go widać

– To nie o to chodzi – powiedział do *tormala* ze swoistym wisielczym humorem, – żebym się ciebie wstydził, Murgatroyd, ale obawiam się, że może będę musiał wstydzić się samego siebie. Siedz na dole!

Zapalił samochód, i ruszył nim w drogę.

Przejechał przez dzielnicę handlową, z wieloma rozbitymi oknami. Mijał kaniony pustych ulic, utworzone przez budynki biurowe. Przemierzył obszar przemysłowy, w którym stało mnóstwo surowych budynków fabrycznych, ale nigdzie nie było oznak, aby prowadzona w nich była jakaś produkcja. Podczas epidemii większość ludzi wolą pozostać w domu, i nie jeździć do pracy, aby uniknąć zarażenia. Na Tallien Trzy, nikt nie miał zamiaru ryzykować pracy zarobkowej, w obawie utraty czegoś więcej, niż tylko życia.

Znalazł szeroką, prostą autostradę, wychodzącą z miasta, ale nie bezpośrednio w kierunku portu

kosmicznego. Calhoun ruszył nią swoim skradzionym samochodem. Z oddali zobaczył dziwną stalową płataninę sieci ładowniczej, wznoszącą się na tle nieba, na wysokość niewielkiej góry. Jechał targany furją. Nawet czymś więcej. Przypomniawszy sobie układ autostrad, widziany z wysokości dwudziestu mil, dziesięciu, a następnie pięciu. Gdzieś stąd, w pobliżu, odpalone zostały skradzione rakiety meteorologiczne, niosące głowice bojowe, z ładunkami wybuchowymi, mające na celu zniszczenie *Asklepiosa Dwadzieścia*.

Nie udało się im. Teraz Calhoun przejechał koło miejsca, z którego zostały wystrzelone, i nawet niczego tam nie zauważył. W pewnym momencie widok przez płaskie pola rozpościerał się na tyle daleko, że zobaczył po ich drugiej stronie, autostradę do portu kosmicznego. Była zupełnie pusta. Potem nastąpił zachód słońca. Widział jak najwyżej położone belki i dźwigary sieci ładowniczej, ciągle jeszcze błyszczą w promieniach słońca, które nie docierały już na dół, na powierzchnię planety.

Jechał. I jechał. Centrum Rządowe mogło polecić zablokowanie drogi do portu kosmicznego, tak na wszelki wypadek. Ale naprawdę, musieli uważać, że ciągle jeszcze ukrywa się gdzieś w Centrum Rządowym, nie mając żadnej nadziei na — realnie myśląc — nic, poza własną śmiercią.

---

**Po** zachodzie słońca pokonał jeszcze parę mil, przejeżdżając dalej, za port kosmiczny. Kiedy zapadła już zupełna ciemność, skręcił w jakąś podrzędną drogę, i skierował się z powrotem w stronę miasta. Tym razem jednak chciał dojechać w pobliże portu kosmicznego. A mniej więcej dwie godziny po zachodzie słońca, wyłączył reflektory samochodu i

dalej jechał po ciemku i niemal bezgłośnie, przez głęboką noc, która w międzyczasie zapadła. Nawet wówczas, zatrzymał samochód jakąś milę od ażurowej metalowej konstrukcji ze stali, wznoszącej się wysoko nad jego głową. Przez dłuższy czas nasłuchiwał, wyęzając uszy.

Wkrótce potem on i Murgatroyd podeszli do portu kosmicznego na piechotę, z raczej mało prawdopodobnego kierunku. Gigantyczna, nierzeczywista wieża, strzelała niewiarygodnie wysoko w stronę nieba. W miarę jak zbliżał się do niej, coraz bardziej się pochylał, niemal czołgając się, tak by jego sylwetka nie odcinała się na tle rozgwieżdżonego nieba. Widział światła palące się w oknach budynku sterowni sieci. Kiedy im się przyglądał, w jasnym oknie przesunął się cień, kogoś poruszającego się w środku. Panowała głucha cisza, przerywana jedynie słabiutkimi, bardzo delikatnymi, odgłosami wiatru poświstującego na metalowym szkielecie sieci.

Nie widział żadnych samochodów, które by wskazywały, że przywieziono tutaj jakichś ludzi, aby zaczęli się na niego. Z maksymalną ostrożnością ruszył naprzód. W pewnej chwili zatrzymał się i z niesmakiem przełączył swój blaster z powrotem w tryb pełnej mocy. Jeżeli będzie zmuszony go użyć, nie mógł liczyć na to, że strzeli dostatecznie precyzyjnie, aby sparaliżować przeciwnika. To będzie walka o życie, albo raczej o szansę życia jak normalny człowiek, i o to by tę możliwość dać także ludziom w tym upiornym, cichym, rozciągającym się na horyzoncie mieście, i w innych mniejszych miastach, porzrzucanych po całej tej planecie.

Powziął wszystkie możliwe środki ostrożności. Widział Statek Medyczny, jak stoi dumnie wyprostowany na swoich płetwach lądowniczych. Jego

ponowny widok, był prawdziwą ulgą. Operator sieci mógł otrzymać rozkazy, aby wynieść go w kosmos — wyrzucić go gdzieś zupełnie donikąd, albo umieścić na orbicie, dopóki nie będzie znowu potrzebny, albo...

Nadal jeszcze było to całkowicie możliwe. Twarz Calhouna lekko się skrzywiła. Będzie musiał zrobić coś z tą siecią. Musi mieć możliwość startu na awaryjnych silnikach raketowych statku, nie narażając się na ryzyko, że zostanie pochwycony przez niesamowite potężne pola siłowe, przy pomocy których wynoszone i sprowadzane były statki.

Podkradł się w pobliże budynku sterowni. Nie było słyhać żadnych głosów, ale w środku wyczuwało się jakiś ruch. Szybko zajrzał przez okno.

Operator sieci, który jako pierwszy przywitał go po wylądowaniu, teraz obchodził całe wnętrze budynku. Popychał przed sobą zbiornik na kółkach. Rozpylał coś przy pomocy przymocowanego do niego węża. Wydobywała się z niego mgiełka, rozpryskująca się na ścianach. Wisiała w powietrzu i opadała na stołach, krzesłach i na pulpicie sterowniczym, wypełnionym tarczami mierników i przełącznikami. Calhoun widział już kiedyś taką mgiełkę. Została ona użyta zamiast ognia, do rozpylenia na ciałach dwóch mężczyzn, którzy próbowali go zamordować, na ich rozbitym samochodzie oraz w każdym miejscu przez które samochód ten wcześniej przejeżdżał. To był aerozol dekontaminacyjny, który jak wierzono, ma możliwość zniszczenia zarazy, przekształcających ludzi w paras.

Calhoun zobaczył twarz operatora sieci. Była absolutnie pozbawiona żadnego wyrazu, ale wyglądała na bardzo, bardzo zgorzkniałą.

Calhoun pewnie podszedł do drzwi, i zapukał w nie. Głos wewnątrz odpowiedział gwałtownym, odpychającym tonem:



– Odejdź stąd! Właśnie zorientowałem się, że jestem para!

Calhoun otworzył drzwi i wszedł do środka. Murgatroyd razem z nim. Kichnął kiedy mgiełka dotarła do jego nozdrzy.

– Zostałem zarażony – odparł Calhoun, – tak więc zmienię się w para podobnie jak i pan. Nie wiem tylko jaki długi jest okres inkubacji. Jedno pytanie: Czy potrafi pan tak zabezpieczyć przyrządy sterownicze, aby nikt inny nie mógł użyć sieci?

Operator sieci wpatrywał się w niego otępiąłym wzrokiem. Był śmiertelnie blady. Wydawało się, że nie zrozumiał tego, co powiedział do niego Calhoun.

– Muszę trochę popracować nad tym stanem para – naciskał na niego Calhoun. Chciałbym znaleźć się na statku i potrzebuję odrobiny spokoju. Potrzebuję również pacjenta w bardziej zaawansowanym stadium para niż ja osobiście. To zaoszczędziłoby mnóstwo czasu. Gdyby pomógł mi pan trochę, to być może udałoby nam się pokonać to diabelstwo. Jeżeli nie, przynajmniej będę musiał wyłączyć tę sieć.

Operator sieci oświadczył gwałtownym, nieludzkim głosem:

– Jestem para. Próbuje spryskać wszystko, czego tylko dotknąłem. Potem pójdę gdzieś i zabiję się...

Calhoun wyciągnął swój blaster. Przetawił go z powrotem na bezpieczną dla życia intensywność.

– Dobry człowieku! – stwierdził z aprobatą. – Jeżeli nie okażę się lepszym lekarzem niż Lett, będę musiał zrobić dokładnie to samo! Tak więc, czy pomoże mi pan?

Murgatroyd ponownie kichnął. Żałośnie oznajmił:

– *Chee!*

Operator sieci, popatrzył na niego, w oczywisty sposób w stanie szoku. Żaden zwyczajny obraz, ani



dźwięk, nie byłby w stanie przebić się do jego świadomości. Ale Murgatroyd był małym, futrzastym zwierzakiem, z długimi bokobrodami i włochatym ogonem. Zwierzakiem mającym zwyczaj naśladowania zachowania ludzi. Kichnął jeszcze raz i rozejrzał się. W kieszeni Calhouna wciśnięta była chusteczka. Murgatroyd wyciągnął ją i przycisnął sobie do pyszczka. Kichnął jeszcze raz, powiedział „Chee!”, i włożył chusteczkę na swoje miejsce. Z dezaprobatą obrzucił wzrokiem operatora sieci. Szok wyrwał operatora ze stanu wszechogarniającej go rozpaczy. Drżącym głosem stwierdził:

– Co to u diabła... – Potem popatrzył na Calhouna.  
– Pomóc panu? W jaki sposób mógłbym komukolwiek pomóc? Przecież jestem para!

– Czyli – odparł Calhoun, – dokładnie tym, czego potrzebuję. Człowieku, jestem lekarzem ze Służby Medycznej! To, co nazywa się epidemią, to robota właśnie dla mnie! I potrzebuję jakiegoś para, który chciałby się leczyć! Czyli właśnie ciebie! Weźmy zablokujmy tę sieć, tak aby nikt nie mógł z niej skorzystać, i...

Z wiszącego na ścianie głośnika, dobiegła seria głośnych kliknięć. To była częstotliwość awaryjna, przełączająca głośnik ze stanu „Wyłączony”. Następnie rozległ się głos:

– *Uwaga, wszyscy obywatele! Pan Prezydent Planety ma do przekazania Państwu dobre wiadomości na temat końca epidemii para!*

Przerwa. Potem z głośników dobiegł poważny i drżący głos:

– *Moi drodzy współobywatele, mam to szczęście, aby Państwu oznajmić, że dysponujemy szczepionką w pełni chroniącą normalsów, przed przejściem do stanu para, oraz leczącą tych, u których faza paras rozwinęła*



się już wcześniej. Doktor Lett, z planetarnej służby zdrowia opracował szczepionkę, która już znalazła się na niewielką skalę w produkcji, a wkrótce dostępna będzie w dużych ilościach, wystarczających dla wszystkich! Epidemia grożąca każdemu człowiekowi na Tallien Trzy, właśnie zmierza ku końcowi! Aby przyspieszyć czas, kiedy każda osoba na naszej planecie, będzie mogła zacząć otrzymywać szczepionkę w wymaganej dawce i wymaganych odstępach czasu, w tym nadzwyczajnym przypadku, w ręce doktora Letta, przekazana została pełnia władzy. Upoważniony jest on do żądania od każdego obywatela, każdej pracy, każdej kwoty i każdej ofiary, jaka będzie niezbędna do przywrócenia naszych dotkniętych zarazą współobywateli do normalnego stanu, oraz jaka chronić będzie pozostałych przed zapadnięciem na tę niemożliwą do tolerowania chorobę. Powtarzam: odkryto szczepionkę, która w absolutny sposób zabezpiecza każdego przed zmianą w para, oraz która leczy tych, którzy para są już w chwili obecnej. A doktor Lett ma pełnię władzy wydawania dowolnych poleceń, które uzna za niezbędne do przyspieszenia końca epidemii, i zapobieżenia jej nawrotom. Ale jej koniec, jest pewny!

Głośnik wyłączył się z kliknięciem. Calhoun stwierdził cierpko:

– Niestety, wiem co to naprawdę oznacza. Prezydent właśnie ogłosił, że rząd abdykował na rzecz doktora Letta, oraz że karą za niewykonanie rozkazów Letta jest — szaleństwo.

Wciągnął głęboki oddech i wzruszył ramionami.

– Chodźmy! Weźmy się w końcu do roboty!

## IV

Akurat tak się okazało, że czas miał krytyczne znaczenie, chociaż Calhoun nie zdawał sobie z tego sprawy. Niemal w tej samej chwili, kiedy Calhoun wraz z operatorem sieci weszli na pokład Statku Medycznego, i zamknęli za sobą właz służby powietrznej, na autostradzie od strony miasta, pojawiły się poruszające się światła. Światła wyraźnie się zbliżały. Pędziły z najwyższą szybkością. Potem przez bramę portu kosmicznego przemknęły samochody i rzuciły się na wyścigi w stronę całkowicie pokojowego, małego Statku Medycznego, który stał prosto, jak się wydawało, stęskniony za lotem w niebo. W ciągu kilku sekund otoczyły go szczelnym pierścieniem, i uzbrojeni ludzie spróbowali wdrzeć się na pokład. Ale Statki Medyczne muszą lądować na wielu najróżniejszych planetach, których mieszkańcy odnoszą się w bardzo różnym natężeniem szacunkiem do Międzygwiazdnej Służby Medycznej. Na niektórych globach, personel portu kosmicznego i goście, okazują w stosunku do jej funkcjonariuszy wielką prawość i uczciwość. Na innych, próbują kradzieży, albo nawet jeszcze gorszych rzeczy. Tak więc do Statków Medycznych nie tak łatwo jest się wdrzeć.

Spędzili długie minuty, nieumiejętnie dłubiąc przy zewnętrznym włazie służby powietrznej. Potem poddali się. Dwa samochody pełne ludzi, pojechały w stronę budynku sterowni, który teraz stał ciemny i cichy. Drzwi do niego nie były zamknięte. Weszli więc do środka.

Natychmiast zapanowała między nimi spora konsternacja. Wnętrze budynku sterowni, było całe zadymione antyseptycznym aerozolem — aerozolem używanym po wykryciu para. W niektórych przypadkach, był on używany przez samych paras, kiedy sami odkrywali swój stan. Ale to również specjalnie nie uspokajało ludzi przybyłych właśnie z Centrum Rządowego. Zamiast potwierdzić ich bezpieczeństwo, mówiło im to o strasliwym zagrożeniu. Ponieważ, pomimo transmisji przemówienia prezydenta planety, strach przed paras był za dobrze zakorzeniony, by mogło ugasić go jakieś oficjalne wystąpienie.

Ludzie, którzy weszli do budynku, wypadli z niego potykając się i z trudem wyjąkali, co wyczuli w środku. Ich towarzysze natychmiast się od nich cofnęli, przerażeni nawet takim pośrednim kontaktem z przypuszczalną zarazą. Wszyscy czekali na zewnątrz, a ludzie którzy nie weszli do budynku, użyli komunikatorów w policyjnych samochodach, do przekazania informacji o bieżącej sytuacji do centrali planetarnej policji.

Próba wdarcia się na statek, oczywiście została na nim zauważona. Calhoun nie zwrócił na nią jednak żadnej uwagi. Opróżnił kieszenie ubrania, które założył jadąc do miasta. Zawierały one zwykle trywialne rzeczy, które zazwyczaj noszą przy sobie mężczyźni. Ale był tam również blaster — nastawiony na strzały o małej mocy — i mała, gruba fiolka z grubego szkła, z osobliwą szarawą cieczą, oraz plastikowy pojemnik.

Zmieniał właśnie ubranie na inne, kiedy usłyszał mamrotanie głośnika, przekazującego raport, wychwycony przez odbiornik statku, dostrojony wcześniej do długości fali wykorzystywanej przez policję planetarną. Pełen obawy głos donosił, że do

Statku Medycznego nie udało się dostać, zaś budynek sterowni sieci był ciemny, pusty i wypełniony rozpyloną mgłą, tak jakby w celu zniszczenia zarazy. Operator zniknął.

W odpowiedzi, jakiś inny głos rzucił kilka ostrych rozkazów. Najwyższe władze wydały instrukcje, że lekarz ze Służby Medycznej, który obecnie znajduje się gdzieś na terenie stolicy, musi zostać złapany, a jego ucieczce z planety należy zapobiec bez względu na cenę. Tak więc, jeżeli nie można dostać się do samego statku, aby go uczynić niezdolnym do lotu, należy użyć sieci i zabrać go stamtąd. Najlepiej wyrzucić go w przestrzeń kosmiczną! Niezależnie od tego, czy w budynku sterowni było skażenie, czy nie, lekarzowi ze Służby Medycznej, należy uniemożliwić użycie jego statku!

– Mają o mnie naprawdę dobre mniemanie – stwierdził Calhoun. – Mam tylko nadzieję, że jestem choćby w połowie tak niebezpieczny, jak sądzi doktor Lett. – Potem dodał rzeczowo: – Powiedział pan, że jest pan para. Chciałbym usłyszeć trochę o objawach. Jakie pan odczuwa i gdzie. Potem chciałbym poznać relację z pańskiego ostatniego kontaktu z padlinozercami.

---

**P**lany zebranych na zewnątrz policjantów, można było zignorować. To nieistotne, że Statek Medyczny może zostać wyrzucony gdzieś w kosmos i tam pozostawiony. Przecież był w środku. Poza tym było to niemożliwe. Operator zabrał ze sobą pewne krytycznie istotne części z systemu sterowania siecią. Oczywiście statek mógł zostać wysadzony w powietrze. Ale otrzymałby wcześniej odpowiednie sygnały ostrzega wcze. Był bezpieczny, poza jedną sprawą. Narażony

był na ten czynnik, który przekształcał ludzi w para. Stan chorobowy będzie się rozwijał dalej. Ale miał pojemnik z grubego szkła pełen szarawego płynu, i plastikowy pojemnik na okazy biologiczne. Jeden z nich pochodził z najbezpieczniejszej kieszeni doktora Letta. To powinna być szczepionka. Zawartość drugiego zabrał z podgrzewacza do hodowli kultur w laboratorium doktora.

Fiolka z grubego plastiku, była po prostu strzałem w dziesiątkę. Zawierała masę małych i obrzydliwie wijących się organizmów, skręcających się prawdopodobnie w jakiejś płynnej odżywce, która mogła być wytwarzana z odpadów ludzkich. Roily się w niej stłoczone tak bardzo, że płyn zdawał się wrzeć. Śmierdziały. Jak skunks.

Operator sieci zacisnął dłoń.

– Zabierz to stąd! – wściekle polecił. – Zabierz to z moich oczu! Jak najdalej!

Calhoun pokiwał głową. Zamknął fiolkę w małej skrzynce. Kiedy zamykał jej pokrywę, stwierdził trudnym do określenia tonem.

– To nie śmierdzi dla mnie już tak paskudnie, jak przedtem.

Ale jego ręce były całkowicie pewne, kiedy pobrał na próbę kilka kropel z butelki ze szczepionką. Opuścił znajdujący się na jednej ze ścian panel, a za nim znajdowało się podręczne, ale zadziwiająco kompletne laboratorium biologiczne. Zostało ono zaprojektowane pod kątem mikroanalizy — ilościowej i jakościowej analizy niewielkich ilości materii. Wyciągnął zminiaturyzowany frakcjonator Challisa. Wprowadził do niego pół kropelki domniemanej szczepionki i podłączył kabel zasilający frakcjonatora. Urządzenie zaczęło szumieć.

Operator sieci zazgrzytał zębami.

– To jest frakcjonator – wyjaśnił mu Calhoun. – Wiruje i przeciska próbkę biologiczną przez żel chromatograficzny.

Małe urządzenie zaszumiało ostrzej. Dźwięk robił się coraz wyższy, aż w końcu zmienił się w wizg, następnie w gwizd, a potem jego wysokość przekroczyła najwyższą tonację, słyszalną dla ludzkiego ucha. Murgatroyd podrapał się po uszach, a następnie poskarżył się:

– *Chee! Chee! Chee!*

– To nie potrwa długo – zapewnił go Calhoun. W pewnej chwili popatrzył na operatora sieci i natychmiast przesunął wzrok w inne miejsce. Na czole mężczyzny widać było pot. Calhoun oznajmił niby mimochodem:

– Substancja, z której składa się szczepionka, oczywiście, działa tak, jak powinna działać szczepionka. Tak więc frakcjonator rozdziela różne substancje, które były zmieszane razem. – Dodał jeszcze: – To nie wygląda zupełnie tak samo jak chromatografia, ale zasada jest taka sama. To stara, bardzo stara sztuczka!

I tak, oczywiście, było. To, że rozmaite rozpuszczone i zmieszane razem substancje mogły zostać rozdzielone, dzięki różnym współczynnikom przenikania przez namoknięte proszki i żele, wiadomo było już od początków dwudziestego wieku, ale w dużej mierze zostało to zapomniane, ponieważ nie było bardzo często potrzebne. Ale w Służbie Medycznej nie odrzucano różnych procesów, tylko dlatego, że nie były nowe.

Calhoun wziął kolejną kropelkę szczepionki, i wpuścił ją pomiędzy dwie szklane płytki, aby się rozmasowała. Rozdzielił je i włożył do suszarki.

– Nie mam zamiaru próbować dokładnej jej analizy – stwierdził. – Głupotą byłoby, próbowanie czego tak skomplikowanego, w sytuacji gdy próbuję tylko to zidentyfikować. To znaczy, mam nadzieję, że to wszystko, czego będę potrzebował!

Wyciągnął niesamowicie mały odkurzacz. Wyczyścił zdjęte przed chwilą z siebie ubranie, wyciągając z niego każdą cząsteczkę pyłu. Zebrany pył pojawił się w przezroczystej rurze, która stanowiła część maszyny.

– Zostałem spryskany jakimś aerozolem, który jak przypuszczam mógł być czymś naprawdę paskudnym – dodał. – Rozpylona substancja pozostawiła po sobie pył. *Myślę*, że zostało to zrobione, żeby się upewnić, że każdy kto opuszcza Centrum Rządowe, z pewnością jest para. To kolejny powód do pośpiechu.

Operator sieci ponownie zazgrzytał zębami. Tak naprawdę, to wcale nie słuchał Calhouna. Zanurzył się głęboko w swoim osobistym piekle wstydu i przerażenia.

Wnętrze małego statku było spokojne, ale nie było zupełnie ciche. Calhoun pracował w sposób dosyć opanowany, ale bywały chwile, kiedy jego wnętrzości zdawały się zaciskać w supeł, i powstrzymywać mu dłonie, co nie było wynikiem żadnej infekcji, zarazy, czy opętania przez demona, lecz reakcją na myśli o uwięzionym w laboratorium para. Ten człowiek cierpiał na niesłychaną żarłoczność, ponieważ nie był w stanie pomóc sobie samemu, ale szalał ze wściekłości i wstydu z tego, czym się stał. Calhoun mógł się zmienić w coś do niego podobnego...

---

**G**łośnik radia dostrojonego do częstotliwości policyjnych, ponownie zaczął coś mamrotać. Calhoun podkreślił głośność.



– *Wzywam Centralę!* – wysapał jakiś głos. – *W dzielnicy Mooreton na ulicach formuje się tłum paras! Są wściekli! Usłyszeli przemówienie prezydenta, i przysięgają się, że go zabiją! Oni nie chcą żadnej kuracji! Wszyscy mają zostać zmienieni w para! Nie chcą na tej planecie żadnych normalsów! Wszyscy mają stać się para, albo zostaną zabici!*

Operator sieci popatrzył na głośnik. Na jego twarzy pojawił się wyraz krańcowej goryczy. Zauważył na sobie spojrzenie Calhouna, i dziko powiedział:

– To właśnie tam należę!

Murgatroyd ruszył prosto w stronę swojej norki i wpełzł do środka.

Calhoun wyjął mikroskop. Zaczął badać wysuszone szklane płytki z suszarki. Potem wyłączył się frakcjonator, tak więc zajął się nim i przeanalizował otrzymany przy jego pomocy slajd. Przebadał próbkę pobranego z ubrań pyłu, pozostałego po substancji rozpylonej na nim przy południowej bramie. Pył zawierał zwykle cząsteczki kurzu, trochę pyłków roślin i fragmentów rozmaitych włókien, oraz różnego rodzaju podobne mikroskopijne śmieci. Ale w całej próbce można było dojrzeć jakieś bardzo malutkie kryształki. Były za małe, aby dało się je dostrzec nieuzbrojonym okiem, ale zdecydowanie miały strukturę krystaliczną. A fakt, że dana substancja składa się z kryształów, nie mówi co prawda zbyt wiele o tym czym ta substancja jest, ale może powiedzieć bardzo dużo, czym ona nie może być. Na slajdzie z frakcjonatora zdołał znaleźć kolejne informacje — współczynnik przenikalności otrzymany na wyniku badania, wyeliminował wszystkie możliwości poza pewną liczbą związków organicznych, które mogły wchodzić w rachubę. Składając razem oba elementy, dostawał całkiem określoną wskazówkę.

Z głośnika doleciał kolejny głos:

*– Centrala! Paras gromadzą się masowo przy północnej bramie! Ich działania są zdecydowanie nieprzyjazne! Będą próbowali wdrzeć się siłą do Centrum Rządowego! Jeżeli mamy ich zatrzymać, będziemy musieli zacząć strzelać! Jakie są wasze rozkazy?*

Operator sieci stwierdził ponuro:

*– Oni zniszczą wszystko. Nie chcę dłużej żyć, ponieważ stałem się para, ale jeszcze nie zacząłem zachowywać się jak jeden z nich. Jeszcze nie! Ale oni już tak! Tak więc oni nie chcą zostać wyleczeni! Nigdy by nie zapomnieli tego, co robili! To byłby straszny wstyd!*

Calhoun uderzał w klawisze małego komputera. Miał już odczyt wskaźnika refrakcji dla kryształków, za małych by je można dojrzeć bez mikroskopu. Ta informacja, plus szczegóły dotyczące ciężaru, plus krystaliczna postać, plus współczynnik przenikania we frakcjonatorze, powędrowały do magazynów informacji w bankach pamięci komputera, znajdujących się gdzieś pomiędzy kajutami mieszkalnymi statku, a jego poszyciem zewnętrznym.

Z innego głośnika, przekazującego transmisje z częstotliwości publicznych, zahuczał kolejny głos.

*– Moi drodzy współobywatele, apeluję do was o zachowanie spokoju! Błagam was o odrobinę cierpliwości! Apeluję do was, zachowajcie samokontrolę, jaką obywatele powinni wykazywać w stosunku do siebie nawzajem, oraz do swojej planety...*

Na zewnątrz, dookoła nich, panował spokój. Statek Medyczny spoczywał cierpliwie w świetle gwiazd. Roztaczająca się wokół niego i ponad nim sieć ładownicza, wznosiła się jak geometryczna fantazja, zasłaniając większą część gwiazdzistego nieba. Z

ledwie widocznych w świetle gwiazd samochodów, dobiegał jeden i ten sam głos. Ten sam przekaz radowy. Prezydent Tallien Trzy wygłaszał przemówienie. Wcześniej wygłosił kolejne. Przed każdym z nich, otrzymał jednak rozkazy od człowieka, który stał się już absolutnym panem całej ludności tej planety.

Policjanci nerwowo pełnili straż wokół Statku Medycznego, ponieważ nie mogli się do niego dostać. Niektórzy spośród nich, ci którzy weszli do budynku sterowni, teraz stali drżąc koło niego i nie byli w stanie zmusić się do powtórnego wejścia. Na cały port kosmiczny opadła potężna, dziwna, nierzeczywista cisza. Monotonne melodie wygrywane przez wiatr na wyższych poziomach sieci lądowniczej, czyniły ją jeszcze bardziej niezemska.

Na horyzoncie płonęła słaba poświata. Na ulicach stolicy planety, ciągle paliły się latarnie uliczne, ale chociaż jej budynki wznosiły się na tle nieba, w ich oknach nie było nawet śladu światła. Palenie świateł, które mogły być zauważone spoza mieszkania, nie było rozsądnym, posunięciem. Oczywiście policja funkcjonowała, można być tego pewnym. Ale wszyscy policjanci znajdowali się w tej chwili w Centrum Rządowym, wezwani do szeregów aby próbować utrzymać obwód utworzony przez apartamentowce z zamurowanymi oknami. Ale większa część miasta była ciemna i straszliwie pusta, pozostawiona w rękach tłumów o różnej wielkości, ale nieodmiennie rozwścieczonych. Dziewięć dziesiątych miasta znajdowało się na łasce paras. Rodziny zamknęły się w ciemnych domach, przerażone kryły się po kątach i za barykadami z szaf, nasłuchując wrzasków albo grzmiącego tupotu nóg, stojących u ich drzwi szaleńców.

Głośnik na Statku Medycznym, przemawiał dalej:

– *Mówiłem państwu* – wygłaszał gładkie zdania Prezydent Planety, ale jego głos lekko się trząsał, – *mówiłem państwu, że doktor Lett opracował i właśnie zaczyna produkować szczepionkę, która będzie chroniła każdego obywatela i wyleczy każdego para. Musicie mi uwierzyć, moi drodzy współobywatele! Co do paras, obiecuję państwu, że wasi rodacy, którzy nie zostali dotknięci tym stanem, zapomną wam to! Obiecuję, że nikt nie będzie pamiętał, tego co... co zostało zrobione w delirium! Wszystko to, co miało wtedy miejsce, a przecież było wiele tragedii, zostanie zamazane. Proszę tylko o zachowanie obecnie odrobiny cierpliwości! Tylko...*

---

Calhoun wrócił do pracy nad swoimi preparatami na płytkach szklanych, podczas gdy komputer wyświetlał cały czas to samo, z wyglądu zupełnie pozbawiony życia. Ale pracował ciężko nad tym aby znaleźć w swoich bankach pamięci, związek organiczny, o takiej to a takiej formie krystalicznej, o takim a taki, współczynniku przenikania, o takim to a takim ciężarze właściwym, i takim to a takim współczynniku refrakcji. Obecnie nie uważano już, że można określić jakieś efektywne ograniczenie na liczbę związków organicznych, które mogły istnieć. Stare oszacowania na pół miliona różnych substancji, dawno już zostały przekroczone. Nawet komputerowi musiało zająć sporo czasu, przejrzanie wszystkich swoich zmikrofilmowanych zapisów, aby znaleźć środek opisany przez Calhouna.

Zaczął niespokojnie krążyć po pomieszczeniu, podczas gdy komputer konsultował się ze swoją pamięcią, z lekkim szumem wirujących wiatraczków

chłodzących i sporadycznymi kliknięciami, w miarę jak przeszukiwane były kolejne kostki pamięci, pełne nadzwyczaj złożonych stereomolekuł zarejestrowanej informacji.

– Być może – powiedział do siebie Calhoun, – to nie tyle jest nowa choroba, ale jakaś modyfikacja dużo starszej. Jakaś niesamowicie prądawna Zaraza Nienawiści — ponieważ najważniejszym symptomem tej konkretnej choroby jest fakt narastania nienawiści. Widziałem wiele chorych planet, ale współczynnik nienawiści dla tej tutaj, ma rekordową wartość. – Przerwał na chwilę, ponieważ komputer wydał z siebie super specjalne brzęczące kliknięcie, i przeszedł do zupełnie nowego pojemnika kostek pamięci. – Hmm... jeżeli to czego szukamy, to szczepionka przeciwko nienawiści, to naprawdę byśmy coś mieli.

Westchnął ciężko.

– Obawiam się jednak, że to nie to. To byłby zbyt szczęśliwy traf. No cóż, po prostu nazwijmy ją Zarazą Nienawiści, szczep z Tallien Trzy. Standardową praktyką – kontynuował Calhoun, – jest przyjęcie założenia, że wszystko co się może wydarzyć, to się wydarzy. Szczególnie, że każdy związek, który może zaistnieć, wcześniej czy później natura gdzieś musi uformować. My szukamy jednego określonego z nich. Musi on od czasu do czasu tworzyć się w naturze, ale nigdy przedtem nie pojawił się w tak dużej ilości, aby zagrozić cywilizacji. Dlaczego?

Murgatroyd polizał swoje bokobrody po prawej stronie. Lekko pisnął — a przecież Murgatroyd był bardzo wesołym małym zwierzątkiem, cieszącym się doskonałym zdrowiem i wykazującym duże zdolności w utrzymywaniu się przy życiu. W przypadku zakażenia, prezentował godny podziwu talent swojego gatunku, błyskawicznie i gwałtownie reagując, i tak

szybko produkując odpowiednie przeciwciała, że żadna znana choroba nie była w stanie się rozwinąć. *Tormale* były cenionymi i szanowanymi członkami zespołów Międzygwiazdnej Służby Medycznej, ponieważ w ciągu kilku godzin potrafiły wytworzyć przeciwciała na dowolną możliwą infekcję. Dzięki temu można było potem rozpocząć syntezę takich przeciwciał, co pozwalało na pokonanie każdej zarazy. Ale Murgatroyd nie wyglądał w tej chwili na szczęśliwego.

– Wiadomo już od bardzo dawna, że żadna forma życia nie istnieje w oderwaniu od innych – niecierpliwie stwierdził Calhoun. – Każde stworzenie istnieje w określonym środowisku, w związkach z innymi żyjącymi stworzeniami, które je otaczają. Ale to dotyczy również związków chemicznych! Wszystko, co jest częścią środowiska, jest dla tego środowiska istotne. Tak więc nawet związki organiczne są równie istotną częścią planetarnego ekosystemu jak... powiedzmy... króliki na planetach typu ziemskiego. Jeżeli nie ma drapieżników, króliki będą się mnożyły, aż do chwili kiedy nie zaczną ginąć z głodu.

– *Chee!* – odparł Murgatroyd, jak gdyby skarżąc się sam sobie.

– Jak wiadomo – mówił dalej Calhoun, nieco gniewnym tonem, – działo się tak ze szczurami na porzuconych statkach. Był kiedyś pewien człowiek, o nazwisku Malthus, który twierdził, że pewnego dnia ludzi czeka ten sam los. Ale tak się nie stało. Opanowujemy galaktykę. Jeżeli kiedykolwiek stanie się nam w niej zbyt tłoczno, są jeszcze inne galaktyki, które możemy skolonizować, i tak przez wieczność! Ale znane są przypadki szczurów i królików, które rozmnożyły się ponad wszelką miarę. Tutaj zaś mamy organiczną molekułę, która rozmnożyła się poza

rozsądne granice! To normalne, że istnieje, ale w normalnym środowisku utrzymywana jest ona pod kontrolą przez inne cząsteczki, które w pewnym sensie na niej żerują. Dzięki czemu kontrolują one populację molekuł tego rodzaju, tak jak króliki czy szczury, kontrolowane są w środowisku makro. Ale tutaj, kontrola tej cząsteczki w ogóle nie działa!

---

**H**uczący głos Prezydenta Planety, kontynuował przemowę, zdawało się w nieskończoność. Wręczano mu kolejne notatki na temat wydarzeń, jakie miały miejsce, a on je odczytywał i dyskutował z paras, próbującymi przebić się przez północną bramę Centrum Rządowego, aby zmienić jego mieszkańców w podobnych do siebie. Prezydent Planety próbował przekuć sztukę retoryki w oręż przeciwko szaleństwu.

Calhoun skrzywił się, słuchając go. Oznajmił zgryźliwie:

– Mamy więc do czynienia z pewną cząsteczką, która musiała kiedyś powstać, ponieważ mogła. Jest ona częścią normalnego środowiska, ale w normalnych warunkach nie przekształca ludzi w paras. Teraz jednak zaczęła to robić! Dlaczego? Jakie związki, albo warunki kontrolują przyrost jej poziomu? Dlaczego nie ma ich tutaj? Czego tu brakuje? Czego?

Głośnik przekazujący transmisje z częstości policyjnych nagle zatrzeszczał, tak jakby ktoś zaczął krzyczeć do mikrofonu.

– *Wszystkie radiowozy! Paras przebili się przez ścianę budynku po zachodniej stronie! Wdzierają się do Centrum! Wszystkie radiowozy natychmiast pośpieszyć w to miejsce! Ustawić blastery na pełną*



*moc i przygotować do natychmiastowego użycia!  
Odepchnąć ich do tyłu, albo zabić!*

Operator sieci skierował gniewne, rozgoryczone oczy na Calhouna.

– Paras... my, paras... nie chcemy zostać wyleczeni!  
– zawołał dzikim głosem. – Kto chciałby stać się z powrotem normalnym i pamiętać, że jadł te padlinożerne robaki! Ja tego jeszcze nie robiłem, ale... kto mógłby rozmawiać z człowiekiem, który dobrze wie, że pożerałeś... pożerałeś... – Operator sieci przełknął niewypowiedziane słowo. – My, paras, chcemy żeby wszyscy stali się tacy jak my, a więc chcemy trwać w stanie, w jakim jesteśmy! Inaczej nie moglibyśmy znieść tego wszystkiego... chyba że umierając!

Zerwał się na nogi. Sięgnął po blaster, który Calhoun odłożył, kiedy zmieniał ubranie, które nosił przedtem w mieście.

– ... I ja zakończę to, właśnie w taki sposób!

Calhoun zawirował jak fryga. Jego pięść wystrzeliła do przodu. Operator sieci zatoczył się. Blaster wyleciał mu z ręki. Murgatroyd ostro zaskrzeczał z wnętrza swojej norki. Nienawidził przemocy, jaką wyrządzał przy okazji Murgatroydowi.

Calhoun stanął nad leżącym operatorem, wściekając się:

– Nie jest jeszcze tak źle! Jeszcze nawet raz nie ziewnąłeś! Możesz jeszcze przez dłuższy czas powstrzymywać potrzebę pożerania tych potworności! A ja cię potrzebuję!

Odwrócił się od niego. Głos prezydenta huczał nadal. Nagle gwałtownie się urwał. Jego miejsce zajął inny głos. Był to uprzejmy, śliski i przymilny głos doktora Letta.

– *Moi drodzy przyjaciele! Nazywam się doktor Lett! Rząd przekazał mi pełnię władzy, ponieważ to ja, i tylko ja mam, absolutną kontrolę nad przyczynami powstawania stanu para. Od tej chwili, to ja jestem rządem! Mówiąc do paras... nie będziecie musieli się leczyć, chyba że sami tego zechcecie. Zostaną dla was wydzielone określone miejsca, i zorganizowane darmowe dostawy, ta byście mogli cieszyć się głęboką satysfakcją, znaną tylko wam! Mówiąc do nie-paras... obiecuję, że będziecie zabezpieczeni przed zmianą w paras, chyba że dokonacie innego wyboru. W zamian, macie wykonywać rozkazy! Ceną za tę ochronę jest posłuszeństwo! Karą za nieposłuszeństwo, będzie utrata ochrony. Ale tym, którym cofnięta zostanie ochrona, nie będą dostarczane niezbędne dla nich rzeczy! Paras, dobrze to sobie zapamiętajcie! Nie paras, nie zapomnijcie o tym! – Jego głos zmienił się. – A teraz wydaję wam mój pierwszy rozkaz! Do policjantów i nie paras: Przestaniecie już stawiać opór paras! Do paras: Wejdziecie na teren Centrum Rządowego, spokojnie i bez pośpiechu. Nie będziecie napastować nie paras, którzy tam zamieszkują. Rozpocznę od zaraz organizację nowego systemu społecznego, w którym paras i nie paras, będą musieli współpracować między sobą. Musi zostać zapewnione posłuszeństwo, aż do najwyższego...*

---

**O**perator podnosząc się z podłogi, zaklął głośno. Calhoun nawet tego nie zauważył. Komputer w końcu wypluł z siebie pasek papieru, na którym widniała odpowiedź, jakiej potrzebował. I była ona kompletnie bezużyteczna. Calhoun oznajmił bezbarwnym głosem:

– Wyłącz to, dobrze?

Kiedy operator sieci wykonywał jego polecenie, Calhoun wielokrotnie czytał, tekst na pasku papierowej taśmy. Jego twarz już wcześniej nie miała najintensywniejszej barwy, ale teraz po każdym odczytaniu tej informacji, robiła się coraz bledsza. Murgatroyd wyszedł niespokojnie ze swojej jamki. Węszył. Ruszył w stronę małej zamkniętej skrzynki, w której Calhoun schował plastikowy pojemnik z żywymi padlinożercami. Próbował wcisnąć nosek, aby podważyć pokrywę skrzynki.

– *Chee!* – stwierdził z pewnością siebie. Wpatrywał się w Calhouna. Calhoun również nawet tego nie zauważył.

– To – poinformował powoli Calhoun, zupełnie biały, – to bardzo niedobrze! Tutaj jest... odpowiedź, ale potrzeba będzie mnóstwo czasu, żeby ją opracować, a my nie mamy mnóstwa czasu! A w dodatku trzeba nie tylko to zrobić, ale jeszcze rozdystrybuować...

Operator sieci warknął. Transmisja doktora Letta potwierdziła wszystko to, co powiedział wcześniej Calhoun. Doktor Lett był teraz rządem Tallien Trzy. Nie było nikogo, kto by się ośmielił wystąpić przeciwko niemu. Każdego mógł przekształcić w para, i odmówić zaspokojenia niezbędnych dla para niewymownych potrzeb. Mógł zamienić każdego na planecie w szaleńca o dzikim i niemożliwym do zniesienia łaknięciu, a następnie odmówić jego zaspokojenia. Ludzie na Tallien Trzy stali się niewolnikami doktora Letta. Operator sieci oświadczył pełnym żądzy śmierci głosem:

– Może uda mi się do niego dostać, i zabić go zanim...

Calhoun pokręcił przecząco głową. Potem zauważył, że Murgatroyd obwąchuje skrzynkę zawierającą

pojemnik z żywymi padlinożercami. Po otwarciu, wydzielał leciutki, ale bezwzględnie obrzydliwy zapaszek. Po zamknięciu, Calhoun nie był w stanie go wyczuć, ale Murgatroyd tak. Ponaglił niecierpliwie Calhouna:

– *Chee! Chee-chee!*

Calhoun wpatrywał się w to. Jego wargi zacisnęły się. Funkcja *tormali* jako członków załóg Służby Medycznej, polegała na szybszej reakcji na infekcje, niż w przypadku ludzi, oraz na wytworzeniu przeciwciał niszczących zakażenie, które mogły być potem syntetyzowane w celu leczenia ludzi. Ale Murgatroyd był odporny tylko na infekcje. Na toksyny — nie. Nie był odporny na powodującą łaknienie molekułę, żądającą dla siebie coraz więcej, pod karą szaleństwa. Murgatroyd pod tym względem nie miał większej wrodzonej odporności niż człowiek.

– *Chee-chee!* – ponaglająco zaświergotał. – *Chee-chee-chee!*

– Dopadło go – stwierdził Calhoun. Czuł się chory. – Dopadło również i mnie. A ja nie jestem w stanie zsyntetyzować czegoś tak złożonego, jak podał to komputer. Czegoś do jest potrzebne do kontrolowania liczby cząsteczek wywołujących przemianę w paras!

Murgatroyd ponownie się rozszczebiotał. Był oburzony. Chciał coś, a Calhoun nie chciał mu tego dać. Nie mógł zrozumieć, jak mogło wydarzyć się coś tak niedorzecznego. Sięgnął łapką i pociągnął Calhouna za nogawkę spodni. Calhoun podniósł go na rękę i rzucił nim przez całą szerokość sterówki. Robił to często dla zabawy, ale tym razem było jakoś inaczej. Murgatroyd wpatrywał się w Calhouna z niedowierzaniem.

– Żeby to przeczłyczyć – rozgoryczonym tonem powiedział Calhoun, – potrzebowalibyśmy węglowodorów

aromatycznych, trochę acetonu, pochodnych kwasu octowego i metylowych grup submolekularnych. Aby zniszczyć to zupełnie musiałbym mieć dostęp do węglowodorów nienasyconych — a to są przecież gazy! A po przewyciężeniu go związek ten musi być stale powstrzymywany przed ponownym odtworzeniem, a do tego potrzebowałbym ze dwudziestu różnych środków organicznych jednocześnie! Już samo odkrycie jak to zrobić, to praca na parę miesięcy dla kilkunastu kompetentnych ludzi, a ja musiałbym to w dodatku wyprodukować w ilościach wystarczających dla milionów ludzi, i przekonać ich do leczenia, wbrew całej władzy rządu i nienawiści paras. Potem jeszcze kwestie dystrybucji...

Murgatroyd był zdenerwowany. Chciał coś od Calhouna, a on nie chciał mu tego dać. Calhoun okazał zniecierpliwienie... nieomal niesłychana rzecz! Murgatroyd zwinął się w kłębek, nieszczęśliwy. Ciągle chciał tej rzeczy, która była w skrzynce. Może gdyby zrobił coś żeby się przymilić...

Zobaczył leżący na podłodze blaster. Calhoun często głaskał go i pieścił, kiedy udawał że przynosi mu coś, co zostało upuszczone. Murgatroyd wstał i podszedł do blastera. Obejrzał się na Calhouna. Ale Calhoun zirytowany krążył w tą i z powrotem. Operator sieci stał z zaciśniętymi pięściami, rozmyślając nad niemożliwymi do wytrzymania i potwornymi rzeczami.

Murgatroyd podniósł blaster. Potruchtął z nim do Calhouna. Ponownie pociągnął za nogawkę spodni człowieka. Trzymał blaster w jedyny sposób, w jaki mogła to zrobić jego mała łapka. Ciemny, zakończony ostrym pazurkiem palec, spoczywał prosto na spuście.

– *Chee-chee!* – oznajmił Murgatroyd.

Próbował podać blaster. Calhoun podskoczył, kiedy zobaczył go w łapce Murgatroyda. Blaster szarpnął się i łapka Murgatroyda zacisnęła się, żeby go przytrzymać. Nacisnął spust. Z lufy z trzaskiem strzeliło wyładowanie. Był to miniaturowy piorun kulisty. Wgryzł się w podłogę, zamieniając jej powierzchnię w parę, i zwęglając znajdujący się pod nią wielowarstwowy drewniany podkład. Statek Medyczny nagle wypełnił się dymem z drewna i wierzchniej wykładziny. Murgatroyd uciekł w panice do swojej norki, chowając się w jej najdalszym kącie.

Ale jednocześnie w Statku Medycznym zapadła osobliwa cisza. Na twarzy Calhouna pojawił się wyraz zaskoczenia, zdziwienia. Przez kilka długich sekund, nie mógł wydusić z siebie słowa. Potem stwierdził opanowanym tonem:

– Do diabła! Jakiego głupca może z siebie zrobić człowiek, kiedy dobrze się do tego przyłoży! Czy pan to czuje? – rzucił pytanie w stronę operatora sieci. – Czy pan to czuje? Wie pan co to jest?

Murgatroyd słuchał wystraszony, mrugając oczkami.

– Dym z drewna! – wycedził Calhoun przez zęby. – A ja o tym nie pomyślałem! Ludzie używają ognia od dwóch milionów lat, a elektryczności od pół tysiąca. Przez dwa miliony lat nie było mężczyzny, kobiety, albo dziecka, którzy spędziliby cały dzień, nie wdychając choćby odrobiny dymu z drewna! A je nie wpadłem na to, że to była właśnie ta część środowiska człowieka, która była niezbędna!

Rozległ się trzask. Calhoun połamał krzesło. Była to ciekawostka, ponieważ zrobione ono było z drewna. Calhoun miał je, ponieważ było ono osobliwością. Teraz rozbił je na kawałki, ułożył je na stosie i posłał w nie wyładowanie z blastera. Powietrze na pokładzie





Statku Medycznego, stało się ostre, kłujące i duszące. Murgatroyd kichnął. Calhoun zakaszał. Operator sieci, zdawało się, że zaraz się udusi. Ale w środku tego białego oparu Calhoun zawołał radośnie:

– Węglowodory aromatyczne! Aceton! Pochodne kwasu octowego i submolekularne grupy metylowe! A dym zawiera ponadto nienasycone węglowodory gazowe! To jest zestaw, jaki nasi przodkowie wdychali w niewielkich ilościach, przez tysiące pokoleń! Oczywiście, że miało to dla nich podstawowe znaczenie! I dla nas również! To była część ich środowiska, a więc musieli być do tego przyzwyczajeni! A w dodatku kontrolowało to rozrost ilości pewnych cząsteczek...

System wentylacyjny stopniowo oczyścił powietrze z dymu, ale Statek Medyczny ciągle załatywał zapachem dymu z drewna.

– Sprawdźmy to! – ostro zawołał Calhoun. – Murgatroyd!

---

**M**urgatroyd podszedł nieśmiało do wejścia do swojej norki. Zamrugnął błaganie do Calhouna. Po powtórzeniu polecenia, zbliżył się do swojego pana, wyglądając na strasznie nieszczęśliwego. Calhoun lekko go pogłaskał. Potem otworzył w skrzynkę, w której znajdował się pojemnik z żywymi padlinożercami, skręcającymi się i wijącymi, tak że jego zawartość wydawała się wrzeć. Wziął pojemnik do ręki. Otworzył pokrywkę.

Murgatroyd natychmiast się cofnął. Wyglądał niesamowicie śmiesznie. Nie było wątpliwości, że jego nos został poważnie obrażony dolatującym do niego odorem. Calhoun podsunął pojemnik z próbką

padlinożerców operatorowi sieci. Człowiek od sieci zacisnął zęby i wziął je od niego. Potem jego twarz zafalowała. Wcisnął pojemnik z powrotem w ręce Calhouna.

– One są... okropne! – stwierdził ochryplym głosem.  
– Okropne! – Wtedy opadła mu szczęka. – Nie jestem para! Nie... para... – Potem gwałtownie zawołał: – Musimy puścić to w ruch! Musimy zacząć leczyć paras...

– Którzy – zauważył Calhoun – będą głęboko skrepowani swoimi wspomnieniami. Nie możemy oczekiwać współpracy z ich strony! I nie możemy liczyć na współpracę ze strony rządu! Ludzie tworzący rząd są paras, i przekazali swoją władzę doktorowi Lettowi. Nie wydaje się chyba panu, że on tak łatwo abdykuje, co? Szczególnie wtedy, gdy wszyscy rozumieją, że to on wyhodował ten szczep padlinożerców, które potajemnie wytwarzają zmodyfikowany merkaptan butylu, zmieniający ludzi w paras!

Calhoun roześmiał się, niemal histerycznie.

– Być może nawet był to wypadek. Być może to on stał się pierwszym para i był tym zupełnie zaskoczony. Ale nie mógł pozostać samotny w tej, jak sam dobrze wiedział, degradacji. Chciał, aby inni przyłączyli się do niego, dzieląc z nim ten okropny stan. Zdobył więc współtowarzyszy. Potem zapragnął, aby wszyscy stali się tacy jak on... Od niego z pewnością nie uzyskamy pomocy!

Nie posiadając się z radości, pstryknął przełącznika mi, aby wyświetlić na ekranach wizyjnych to, co działo się na dworze, dookoła statku. Włączył wszystkie sensory, które mogły odbierać dźwięk i transmisje radiowe. Zabrzmiały głosy:

– *Wszędzie toczą cię walki! Normalni nie chcą zaakceptować paras żyjących między nimi. Paras nie*

*chcą zostawić normalsów w spokoju... Dotykają ich, chuchają na nich — i śmieją się! Wszędzie walczą... –* Idea, że stan para jest zaraźliwy, ciągle była hołubiona pomiędzy paras. To była lepsza koncepcja, niż pomysł, że zostali opętani przez demony. Ale byli również i tacy, którzy optowali za tą bardziej dramatyczną opinią. Nagle w eterze rozległy się czyjeś wrzaski, a potem jakiś męski głos wysapał: – *Przyślijcie tutaj szybko policję! Paras zupełnie oszaleli. Oni...*

Calhoun usiadł przy pulpicie sterowniczym. Przerzucił tam parę przełączników. Na chwilę dotknął jakiegoś przycisku. Poczuli lekki wstrząs, i na zewnątrz zaczął narastać potężny ryk. Po chwili urwał się. Calhoun spojrział na panele wizyjne, co się dzieje koło statku. Wszędzie widać było kłęby dymu i pary. Ludzie uciekali przed siebie, zostawiając swoje samochody.

– Lekkie muśnięcie raketami awaryjnymi – stwierdził Calhoun. – Wszyscy uciekli. A teraz zakończymy zarazę na Tallien Trzy.

Operator sieci ciągle był oszołomiony nieustającą nieobecnością jakichkolwiek symptomów tego, że mógłby kiedykolwiek zmienić się w para. Przytaknął niepewnym głosem:

– Pewnie! Pewnie! Tylko jak?

– Dym z drewna – odpowiedział mu Calhoun. – Rakiety awaryjne. Dachy! W powietrzu na tej planecie nie ma w ogóle cząsteczek dymu z drewna, ponieważ nie ma tutaj pożarów lasów, a ludzie nie palą drewnem. Korzystają z elektryczności. A więc rozpoczniemy jak największą produkcję dymu z drewna, z każdego kawałka jaki nawinie się pod rękę. Dzięki temu ilość pewnych zmodyfikowanych cząsteczek merkaptanu butylu, zostanie poważnie

zredukowana. Spadnie do normalnego poziomu. Natychmiast!

Rakiety awaryjne zagrzmiały donośnie i mały Statek Medyczny, zaczął wznosić się w niebo.

---

**W** historii ludzkości, stosowano już oczywiście nadzwyczajne środki zaradcze, przeciwko zarazom. Był kiedyś pewien król Francji, na Ziemi, który kazał pozabijać wszystkich trędowatych w swoim królestwie. Bywały statki, czy też domy, palone w celu odparcia plagi, a kwarantanny, które ograniczały wolność istot ludzkich, były wręcz trudne do zliczenia. Środki Calhouna, zastosowane na Tallien, były może nieco bardziej dramatyczne niż w większości tego typu przypadków, ale miał dobre podstawy do ich zastosowania.

Podłożył ogień w stolicy planety. Mały Statek Medyczny prześlizgnął się ponad ciemnymi budynkami. Jego rakiety awaryjne wyrzucały języki ognia, o długości dwustu stóp. Calhoun omiótł nimi dachy na wschodzie i zwiększył wysokość, aby rozejrzeć się, w którą stronę wieje wiatr. Potem zszedł niżej i zamiótł to tu, to tam...

Grube, jak wydawało się dławiące, masy dymu z drewna, popłynęły przez miasto. Tak właściwie, to nie były wcale zabójczo duszące, ale spowodowały panikę. W Centrum Rządowym toczyła się walka, jednak została przerwana, kiedy pojawiła się tajemnicza substancja — nikt z ludzi, od stu lat, nie widział płonącego drewna, ani nie wachał jego dymu. Kiedy więc dusząca, dławiąca kółdra rozwinęła się nad miastem i spoczęła na nim, walka została przerwana i wszyscy ludzie uciekli.

Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, to nie był jakiś wielki pożar. Spaliło się mniej niż dziesięć procent miasta, ale dziewięćdziesiąt parę procent paras, przestało być paras. Ponadto, nagle odzyskali zwyczajny niemożliwy do przewyciężenia wstręt do zapachu butylu merkaptanu — nawet zmodyfikowanego butylu merkaptanu — i natychmiast odkryto, że nikt z normalnych ludzi, którzy powąchali dymu z drewna, nie staje się para. Tak więc, wszystkie miasteczka, a nawet poszczególne farmy, po tym wydarzeniu zapewniły wszystkim, od czasu do czasu odrobinę ostrego dymu z drewna do powąchania.

Calhoun jednak nie czekał już na te przyjemne wieści. Nie mógł oczekiwać specjalnej wdzięczności. Spalił w końcu część miasta. Zmusił paras do tego, żeby przestali być paras i zaczęli odczuwać swój wstyd. A ci, którzy nie zmienili się w paras, rozpaczliwie chcieli zapomnieć o całej tej sprawie, najszybciej jak to tylko możliwe. Nie mogliby, ponieważ wdzięczność dla Calhouna, o wszystkim by im przypominała. Podjął więc odpowiednie działania.

Kiedy operator sieci ponownie znalazł się na ziemi i doprowadził sieć do stanu używalności, natychmiast wysłał Statek Medyczny w kosmos, na odległość dobrych pięciu średnic planety. W kilka godzin później, statek znowu znalazł się w podprzestrzeni, a Calhoun i Murgatroyd popijali sobie razem kawę. Murgatroyd gorliwie wylizał swój opróżniony już mały kubek, aby nie przepuścić ostatnim nawet resztkom smakowitego napoju. Oznajmił szczęśliwie:

– *Chee!* – Najwyraźniej chciał więcej.

– Kawa – surowo stwierdził Calhoun, – wchodzi ci w nałóg, Murgatroyd! Jeżeli to twoje nienormalne łaknienie za bardzo się rozwinie, mógłbyś zacząć na mnie ziewać, co oznaczałoby, że twoje pożądanie

zaczyna wymykać się spod kontroli. Wiadomo, że takie ziewanie wywoływane przez nieodparte łaknienie, może powodować u ludzi przemieszczenie szczęki. Tobie również mogłoby się to przytrafić. Naprawdę by ci się to nie podobało!

Murgatroyd nic nie odpowiedział.

– Nie wierzysz w to, co? – spytał Calhoun. Potem dodał: – Wiesz co, Murgatroyd, mam zamiar spędzić parę chwil z reszty mojego życia, na zastanawianiu się nad tym, co stało się z doktorem Lettem! Pewnie go w jakiś sposób zabili. Ale uważam, że dla niego to i tak całkiem łagodna kara. Trudno byłoby wymyślić karę, która rzeczywiście odpowiadałaby jego czynom! Czy to nie jest dużo bardziej interesujące, niż kawa?

– *Chee! Chee! Chee!* – z uporem domagał się Murgatroyd.

– Nie byłoby rozsądne, zostawać tam i próbować przeprowadzić normalną inspekcję publicznej służby zdrowia. Wyślemy do nich kogoś innego, kiedy sprawy wrócą już do normy.

– *Chee!!!* – głośno wrzasnął Murgatroyd.

– Och, dobrze, już dobrze – powiedział Calhoun. – Jeżeli masz zamiar zachowywać się w tej sprawie tak emocjonalnie, daj już swój kubek!

Wyciągnął rękę, a Murgatroyd włożył w nią swój mały kubek. Calhoun ponownie go napełnił. Murgatroyd ochoczo zaczął popijać.

Statek Medyczny *Asklepios Dwadzieścia*, leciał dalej w podprzestrzeni, zmierzając z powrotem w kierunku Centrali Międzygwiazdnej Służby Medycznej.

# Parlamentariusz

## Propagandist

Wszyscy oczywiście pamiętamy historię korsarzy przestrzeni międzygwiazdnych. Nie było ani jednego człowieka, który by ujrzawszy przedstawicieli tej rasy zdołał ujść z życiem i mógł coś bliższego o nich powiedzieć. Pamiętamy także dalekosiężne poszukiwania ich ojczyzny i bazy, co tylu ludziom przyniosły śmierć. Już na długo przedtem korsarze międzygwiazdni niszczyli poszczególne nasze jednostki. Aż wreszcie eskadra ich floty przestrzennej najechała kolonie ziemską na Capella 3 i bez ostrzeżenia ni powodu, bez najmniejszej próby porozumienia się, wymordowała co do jednego całą półmilionową ludność. Wtedy dopiero rozpoczęły się zorganizowane poszukiwania.

Historia niniejsza opisuje jeden z epizodów owej akcji, a bohaterem jej jest - pies, który wabił się Buck.

Buck wkroczył godnie za swym panem do kabiny kontrolnej lekkiego krążownika międzygwiazdowego "Kennessee". Poczekał cierpliwie, póki kapitan nie uniesie głowy znad teleskopu elektronowego, a jego



pan, Holden, nie usadowi się w fotelu z plikiem najnowszych nagrań fal przestrzennych, które właśnie przyniósł z kabiny komunikacyjnej. Teraz Buck popatrzył badawczo na kapitana, po czym wyciągnął się na podłodze. Ułożył pysk pomiędzy łapami i westchnął głęboko. Nie było to jednak westchnienie niezadowolenia. Buck nie był psem wymagającym. Pozostawał w przyjaznych stosunkach ze wszystkimi na "Kennessee", od kapitana począwszy, na najskromniejszym boyu z kantyny kończąc. Ale jego panem i bożyszczem był podporucznik Holden. Gdziekolwiek udawał się Holden, Buck szedł tam za nim - o ile oczywiście dozwalały na to przepisy - i czekał, aż jego pan zechce udać się gdzie indziej.

Leżał i teraz na piankowej podłodze, słuchając głosu Holdena oraz odpowiedzi kapitana. Z tonu obydwu przebijała troska i niepewność. A Buck drzemał. W półśnie przebiegały mu przez głowę kontury jakichś obrazów. Były to przeważnie wspomnienia, najczęściej wspomnienia rozkosznych harców pośród wysokich traw zielonej ziemskiej łąki; oczywiście Holden znajdował się zawsze gdzieś w pobliżu. Głosy rozmawiających stanowiły odległe tło tych snów.

Mężczyźni byli poważnie zaniepokojeni. Krażownik "Kennessee" posuwał się po orbicie jednej z komet układu słonecznego Masa Gama. Z wyłączonym napędem, nie zdradzając żadnego znaku życia, miał uosabiać martwego przybysza z przestrzeni. Jednocześnie jednak - o ile to się powiedzie - chciał spełnić swoje potworne zadanie: przygotować zagładę tajemniczych, wrogich istot przy pomocy zdalnie kierowanych pocisków, które mogły miażdżyć planety. Ludziom nie podobało się to. Liczyli, że jakaś inna jednostka ziemskiej floty międzygwiazdnej będzie

miała wątpliwe szczęście uwieńczenia swych poszukiwań sukcesem. Ale cóż, rozkaz jest rozkazem.

Już przed paroma tygodniami, jeszcze w znacznej odległości od pierwszej z brzegu planety układu Masa Gama, "Kennessee" z ponadświatłnej przeszedł w szybkość podświetlną. Uzyskawszy szybkość i kurs właściwy komecie, ruszył jej szlakiem poprzez układ jedenastu planet. I prawie od razu jego urządzenia odbiorcze zarejestrowały międzyplanetarne sygnały radiowe - dowód, że musi tu istnieć jakaś cywilizacja. Oczywiście sygnały były niezrozumiałe, ale można z nich było wnioskować, że cywilizacja ta poci względem technicznym da się porównać z ludzką. Tego właśnie szukał "Kennessee", jak i wszystkie lżejsze jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej.

Załoga "Kennessee" wiedziała tylko, że gdzieś żyją istoty będące śmiertelnym wrogiem ludzkości, choć nigdy nie wchodziły w bliższe stosunki z Ziemią. Od lat już z zastanawiającą częstością powtarzały się wypadki ginienia ziemskich jednostek wywiadowczych. Już wówczas zrodziły się podejrzenia, ale nie było jeszcze żadnego dowodu istnienia wrogich istot napadających człowieka przy każdym zetknięciu. Dostarczyła go dopiero przed pół rokiem zagłada kolonii ziemskiej na Capella.

O okrutnych napastnikach dowiedziano się jednak tylko tyle, że nie są ludźmi. Teraz trzeba ich odszukać i jeśli nie uda się dojść do porozumienia - zniszczyć, nim staną się dość silni, by zetrzeć rodzaj ludzki z powierzchni Ziemi. Załoga "Kennessee" zdawała sobie doskonale sprawę, że nieznanne istoty mogą zamieszkiwać planety układu Masa Gama, nigdy dotąd nie badanego przez człowieka. Cywilizacja, która rozporządza międzyplanetarną sygnalizacją radiową, może również...

Buck drzemał tymczasem na podłodze kabiny kontrolnej. W przyćmionej świadomości przesuwały się drobne ułamki snów - zapach maszynowni, epizod pogoni za kotem, parę chwil pracowitego obwąchiwania drzewa... Na jakąś głośniejszą uwagę otworzył oczy.

- Muszą w każdym razie dokonywać lotów międzyplanetarnych. - To mówi Holden. - Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że odebrane sygnały służą do utrzymania łączności pomiędzy planetami. Wygląda mi na to, że nadają je istoty, których szukamy.

Kapitan pokiwał głową.

- Być może. Ale jeżeli na podstawie naszego raportu mają one ulec zagładzie, musimy się co do tego upewnić. Taki jest rozkaz. Czy są one w stanie zniszczyć "Kennessee"? To jest dopiero dowód, którego nam potrzeba. Jeśli potrafią nas zamordować, są tymi wrogami, których szukamy. Ale nie są nimi, jeśli tego nie potrafią. I to musimy stwierdzić.

- A czyż komunikacja międzyplanetarna nie jest dostatecznym dowodem?

- Komunikacja międzyplanetarna to jeszcze nie komunikacja międzygwiazdowa - odparł kapitan. - Trzeba będzie zaraz wysłać na ziemię torpedę ze wszystkimi danymi, jakie posiadamy. Ale jak dotąd, Holden, nie odebraliśmy jeszcze fali whango. Nie mamy więc dowodu, że istoty, których obecność stwierdziliśmy, dokonują lotów międzygwiazdowych. A nasi wrogowie dokonują.

- Może kryją się z tym przed nami - powiedział Holden. - Nim się tu zjawiliśmy, musieli odebrać wytworzoną przez nas falę whango. I może teraz czekają, aż się zbliżymy na tyle, żeby mogli nas zniszczyć bez śladu. Tak żebyśmy nie byli w stanie ani

się już bronić, ani wysłać raportu na Ziemię. To dla nich dość typowe.

Wstał, a Buck natychmiast zerwał się także, merdając ogonem. Jego pan, Holden, idzie gdzieś, więc Buck pójdzie razem z nim. Czekał zadowolony. Dla Bucka szczęście polegało na tym, żeby iść wszędzie tam, gdzie idzie Holden, żeby znajdować się tam, gdzie przebywa Holden; jednym słowem, na tym, żeby wciąż pławić się w poczuciu obecności Holdena. Była to przyjemność nader nieskomplikowana, ale Buck naprawdę niczego więcej nie pragnął od losu. Gdy Holden głaskał go lub bawił się z nim, choćby niezbyt delikatnie, szczęście Bucka przechodziło w ekstazę. więc czekał teraz zadowolony po prostu z tego, że pójdzie z Holdenem.

- Tak, wszystko to prawda - zgodził się kapitan. - Może i czatują na nas. Zobaczymy. W każdym razie wyślemy zaraz na Ziemię torpedę z wszystkimi wiadomościami. Jeżeli nie wrócimy, nasza flota będzie przynajmniej wiedziała, w którą stronę ma się udać i kogo unieszkodliwić. Potem przystąpimy do próby lądowania w rakiecie ratunkowej. Wątpię, żeby nasi wrogowie potrafili sobie odmówić przyjemności zniszczenia jej. Jeśli jednak rakieta wróci, dowiemy się czegoś o ich uzbrojeniu.

- Panie kapitanie - powiedział szybko Holden - zgłaszam się na ochotnika do rakiety ratunkowej.

- Zobaczymy odrzekł kapitan. - Najpierw przygotuj wszystkie dane, jakie musi zabrać torpeda. Czy jesteś zupełnie pewien, że to były wiązki kierunkowe? Coś jak w naszym dawnym radarze? I że zostały nadane w naszą stronę z czwartej planety?

- Najpewniejszy w świecie - oświadczył Holden. - Oczywiście trudno powiedzieć, jak dokładne są wiadomości, które o nas uzyskali przy pomocy tego

urządzenia. Ale w każdym razie zrozumiałe jest, że chcą w ten sposób zbadać pojawiającą się na niebie kometa...

- Miejmy nadzieję - rzekł kapitan błyskając oczyma - że echo odbite od naszego kadłuba powiedziało im: "To tylko kometa, nic więcej". A więc, Holden, żeby mi wszystko było gotowe za pół godziny.

Holden zasalutował i opuścił kabinę kontrolną. Za nim kroczył godnie Buck, wielki brunatny pies, któremu ani śniło się zawracać sobie głowę takimi głupstwami jak podróże międzygwiazdne czy niewiadome istoty z bezsensownym okrucieństwem pozbawiające życia pół miliona ludzi.

Buck był zupełnie zadowolony ze swego psiego losu. Był przecież ze swoim panem.

Rada planetarna układu Masa Gama zebrała się na naradę. Nie było to wesołe zgromadzenie. Wiązki kierunkowe wykazały, że domniemana kometa, która pojawiła się na niebie, jakkolwiek posuwa się po całkowicie prawidłowej orbicie, jest w rzeczywistości tworem sztucznym - statkiem międzygwiazdnym. Nie stosuje on wprawdzie napędu i nie zdradza żadnych w ogóle znaków życia. Przeciął jednak pole grawitacyjne zewnętrznych planet - nie wykazując przy tym ani śladu rotacji. A to jest możliwe tylko w tym wypadku, o ile wewnątrz pracuje żyroskop lub jakieś podobne urządzenie.

- Mieliśmy już jedną wizytę z przestrzeni międzygwiazdnych - powiedział przewodniczący Rady Planetarnej. Wyglądał na bardzo przygnębionego. - Znamy z historii skutki tej wizyty. Jeżeli i ten statek wiezie te same istoty, musimy go zniszczyć jak najprędzej. Moim zdaniem, wystarczającym dowodem jest fakt, że usiłuje się zbliżyć niepostrzeżenie. Ale z

drugiej strony ten kamuflaż świadczy o pewnych podejrzeniach wobec nas, podejrzeniach, że to myśmy zniszczyli poprzedni statek. Jeśli zniszczymy i ten, podejrzenia zamienią się w pewność i możemy być przekonani, że następną wizytę złoży nam już potężna flota. Oznacza to, że całą naszą cywilizację będziemy musieli przestawić na produkcję wojenną. Będziemy musieli pomyśleć o napędzie, który pozwoli nam wyjść poza nasz układ. Wszystkie nasze godziny będą odtąd płynęły w bezustannej walce o życie. Z istot nastawionych pokojowo będziemy musieli przekształcić się w istoty o psychice dostosowanej wyłącznie do potrzeb wojny. Przedstawiciel Pierwszego Kontynentu był nieco lepszej myśli.

- Skąd pewność - zapytał - że są to istoty tej samej rasy, co poprzednie? Statek ma przecież zupełnie inny kształt. I skąd pewność, że z tymi istotami, tak jak z poprzednimi, nie da się w żaden sposób dojść do porozumienia?

- Oczywiście, co do tego nie ma pewności - odparł przewodniczący zmęczonym głosem. - Analiza psychologiczna zewnętrznych kształtów statku dowodzi, jak nam się wydaje, że są to raczej istoty odmienne. Ale czy mimo to możemy sobie pozwolić na nawiązanie z nimi pokojowych kontaktów? Ma się rozumieć, załoga pojedynczego statku jest zdana na naszą łaskę i niełaskę. I prawdopodobnie będzie symulowała przyjaźń po to, ażeby stąd odjechać uzyskawszy wiadomości, które potem posłużą do przygotowania nam zagłady. Czy możemy w ogóle mieć zaufanie do istot, które wysyłają pojedynczy statek na przeszpiegi, żeby zebrać o nas wiadomości?

Zaległa cisza. Przed dwustu laty pojawił się już jeden statek międzygwiazdny w układzie Masa Gama. Zniszczenie połowy planety i zagłada wielu milionów

istot były cena, jaką wypadło zapłacić za jego unieszkodliwienie. Okazało się to jednak nieuniknione. Załoga statku nie reagowała na żadne próby nawiązania przyjaznych kontaktów. Gdziekolwiek wylądowała, niszczyła w okrutny sposób wszystko, co było wykwitem konkurencyjnej cywilizacji. A przede wszystkim mordowała mieszkańców. Nie można z nią było dojść do porozumienia, więc trzeba ją było uśmiercić.

- Gdybyśmy mogli przynajmniej - powiedział z żalem przedstawiciel Trzeciego Kontynentu - dostać w ręce jednego jedyne go członka załogi tego statku, żeby się upewnić, że nie ma żadnej nadziei porozumienia. To straszne, że nie możemy się nawet upewnić, zanim...

- Tak, to straszne - przytaknął przewodniczący głucho. - Przetawic całą naszą cywilizację na produkcję wojenną i skazać się na długą wojnę to najstraszniejsze, co może być. Ale nie widzę innego wyjścia. Poddaję pod głosowanie, czy mamy zniszczyć statek, który pojawił się w naszym układzie?

Głosowano niechętnie, ale jednomyślnie. Za wojną.

Torpeda, którą "Kennessee" wystrzelił z komory rufowej, nie odznaczała się imponującym wyglądem. Był to przedmiot o kształcie cygara, długości jakichś dwu metrów. Oderwawszy się od krażownika torpeda miała przez piętnaście minut posuwać się z przyspieszeniem trzydziestu pięciu ciężkości, po czym przejść w szybkość ponadświatlną. W tym momencie skończy się jej egzystencja z punktu widzenia normalnych kategorii przestrzennych, co znajdzie swój przejaw w emisji niezmiernej ilości energii, tak zwanej fali whango, wyczuwalnej w promieniu setek milionów kilometrów. W pobliżu ziemi torpeda wyjdzie z



szybkości ponadświetlnej przy pomocy drugiej podobnej fali. Ta druga fala będzie miała dodatkowe znaczenie. Odległość pomiędzy Masa Gama a bazą macierzystą "Kennessee" wynosi około osiemdziesięciu lat świetlnych. Wiadomość nadaną drogą radiową, transmitowaną za pośrednictwem promieni zwartych, odebraliby w bazie prawnukowie załogi krążownika. Torpeda natomiast dotrze tam w ciągu niewielu dni. Fala whango, towarzysząca jej rematerializacji, zostanie zarejestrowana przez rozgałęzioną sieć statków łączności, które również odbiorą i przekażą dalej wiadomości transmitowane automatycznie przez torpedę, a następnie złowią ją samą, ażeby zapoznać się z danymi pisemnymi oraz okazami fizycznymi.

Buck nie był obecny przy wystrzeleniu torpedy. Był zbyt duży, ażeby zajmować niepotrzebnie miejsce w zatłoczonej i tak komorze rufowej, która się mieściła w zwązającym się, spiczastym ogonie krążownika. Holden nie pozwolił mu tu wejść, a Buck był zbyt przekonany o przywiązaniu pana do siebie i o swej własnej wartości, żeby brać sobie takie sprawy do serca. Wiedział dobrze, że bywają momenty, kiedy nie powinien się płatać pod nogami. Ale wiedział również, że lubią go wszyscy członkowie załogi, ruszył przeto godnym krokiem na poszukiwanie pośledniejszego wprawdzie, lecz zawsze ludzkiego towarzystwa, dopóki pan nie dopuści go na powrót do siebie.

Zastał kilku członków załogi przy zaopatrywaniu rakiety ratunkowej, która miała dokonać lądowania, i, jak przystało na towarzyskiego psa, wszedł za nimi do wnętrza. Wcisnął się do niewielkiej kabiny kontrolnej za mężczyznę, którego przysłano tu, żeby skasował niepotrzebne zapisy, i obserwował.

Po chwili zjawilo się jeszcze kilku mężczyzn. Ci, którzy zajęci byli przygotowaniami do lotu, odeszli - i

rakieta kilkoma ruchami wywindowana została nieco w górę. Buck, zamrugał z kąta, gdzie leżał zwinięty na podłodze. W iluminatorach rakiety migotały gwiazdy. Zrobiło się oślepiająco jasno. Niczym nie przyćmiony blask gwiazdy Masa Gama wpadł przez przedni iluminator i położył się świetlistą plamą na tylnej ścianie.

Do kabiny wszedł podporucznik Maynard i nacisnął guzik telefonu.

- Osłony otwarte, rakieta ratunkowa w pozycji wyjściowej - powiedział ostro. - Wszystko przygotowane do startu.

- Przyjąłem - rozległ się w megafonie głos Holden; brzmiał jakoś posepnie. - Startujcie w momencie, gdy uderzy fala whango. Może zakłóci im ten ich radar i uda wam się wystartować niepostrzeżenie. Powodzenia.

Buck był przyzwyczajony do megafonów. I znał dobrze głos swego pana. Zaczął merdać ogonem, stukając miarowo o ścianę. Maynard obejrzał się gwałtownie i wykrzyknął:

- Buck. Buck jest tutaj. Schował się w kącie. Chwila ciszy. Potem znowu głos Holden, jeszcze posepniejszy.

- Trudno, Maynard. Nie ma już czasu, żeby go przeprowadzić z powrotem na pokład. Musi lecieć z wami.

- Może to i dobrze - powiedział Maynard wesoło. - Będziemy mieli maskotkę. Ile jeszcze czasu zostało?

- Dwadzieścia sekund - odparł głos Holden. - Ale z ciebie szczęściarz, bracie. Miałem nadzieję, że to ja polecę, dopóki nie dokupiłeś tego asa.

Maynard zachichotał. "Kennessee" zapuszczał się w nieznany i najprawdopodobniej wrogi układ słoneczny. Jeżeli to jego mieszkańcy niszczyli podstępnie

jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej i zdewastowali kolonię na Capella 3, niewielkie były szanse, aby krążownik kiedykolwiek opuścił cało układ Masa Gama. Ale nie powstrzymało to młodszych oficerów statku przed rozegraniami partyjki pokera o przywilej niebezpiecznego eksperymentu lądowania na największej z planet.

W megafonie rozległ się nagle ton tak głośny i niesamowity, że membrana zdołała brzęknąć tylko raz, po czym jęła wydawać jakieś zdławione, chrapliwe dźwięki. Była to fala whango wytworzona przez torpedę, podmuch promieniowania tak silny, że blokował każde urządzenie odbiorcze w swoim zasięgu, bez względu na to, jak nastrojone.

Buck doznał miazdżącego uczucia ciężaru i osunął się na tylne oparcie fotela na który właśnie wskoczył. Jakaś siła przyciskała go mocno do miękkiej poduszki. Wił się nie mogąc złapać tchu. W jego oczach odmalowała się żałość. Buck nie lubił momentu przyspieszenia. Prawdę mówiąc, nie lubił w ogóle latać rakieta ratunkową, i oto skazany był na lot rakieta, skazany przynajmniej na okres najbliższych osiemnastu godzin.

Wiadomość dotarła do nowoutworzonego Departamentu Wojny na Masa 4.

Departament Wojny został gorączkowo zorganizowany jako naczelną jednostką koordynującą do ostatniego erga energię całego układu słonecznego w zsynchronizowane promienie świetlne, które w określonym momencie wyruszą jednocześnie z czterech planet położonych po jednej i tej samej stronie swego słońca, ażeby zbiec się na pseudokomecie. Śmiercionośne promienie nie są bronią materialną, którą detektory statku byłyby w stanie

wykryć dość wcześnie, aby mógł on dokonać jakiegoś uniku. Rozchodzą się z szybkością światła, a ciało, które znajdzie się w ich ognisku, zostanie rozgrzane do temperatury jądra słonecznego. Nie do pomyślenia jest, żeby jakiegokolwiek urządzenie odbiorczo-nadawcze zaczęło działać wcześniej, niż otrzyma bodziec, tak więc promienie są bronią praktycznie niezawodną. Niezawodną, jeśli w grę wchodzi jeden statek. Jednakże obliczenie wzajemnego stosunku faz emitujących je planet, które przecież znajdują się w stałym ruchu, tak żeby poszczególne promienie komasowały swą energię zamiast częściowo likwidować się nawzajem, to sprawa ogromnie skomplikowana. Dlatego za ich pomocą można, zniszczyć pojedynczy statek międzygwiazdny, którego kurs i szybkość są znane, względnie statek, który już wylądował na którejś z planet - o ile starczy czasu na dokonanie koniecznych obliczeń. Natomiast w wypadku pojawienia się całej floty, broń ta stanie się bezużyteczna. Po trzeba dni czy tygodni, ażeby zgromadzić ilość promieni niezbędną do skutecznego ciosu w określony punkt. W obliczu wielu statków o zmiennym kursie i szybkości promienie będą bezsilne.

Wiadomość, która nadeszła do Departamentu Wojny, brzmiała następująco:

NIEWIELKA RAKIETA MIĘDZYPLANETARNA ODŁĄCZYŁA SIĘ OD OBSERWOWANEGO STATKU W MOMENCIE SILNEGO PONADDŹWIĘKOWEGO ZAKŁÓCENIA FALOWEGO. RAKIETA STERUJE W KIERUNKU PLANETY 4. PRAWDOPODOBNIIE. ZAMIERZA. ŁADOWAĆ. STRONA ODSŁONECZNA. OKRĘG PÓŁNOCNY PIERWSZEGO KONTYNENTU. CZEKAMY NA ROZKAZY.

Niedawno powstały Departament Wojny nie miał jeszcze czasu wypracować sobie biurokratycznych metod pracy i napuszonego stylu. Dlatego zapewne odpowiedź nadeszła w ciągu kilkunastu minut.

EWAKUOWAĆ CAŁĄ LUDNOŚĆ Z ZAGROŻONEGO OKRĘGU. PRZYGOTOWAĆ POJAZDY TERENOWE I SAMOLOTY ATMOSFERYCZNE DLA ROZPOZNANIA, JAKIM UZBROJENIEM DYSPONUJE RAKIETA. NADAĆ APEL RADIOWY DO OCHOTNIKÓW Z OSTRZEŻENIEM, ZE IDĄ PRAWDOPODOBNIENIE NA ŚMIERĆ. NIE POSŁUGIWAĆ SIĘ ŻADNYMI JEDNOSTKAMI KOMUNIKACJI MIĘDZYPLANETARNEJ. WRÓG NIE POWINIEN SIĘ ZORIENTOWAĆ, ŻE POSIADAMY DOSTATECZNE ŚRODKI OBRONNE AŻ DO CHWILI, GDY CAŁY UKŁAD BĘDZIE GOTÓW DO JEDNOCZESNEGO DZIAŁANIA.

Mieszkańcy Masa 4 doświadczyli już jednej inwazji przybyszów spoza swego układu słonecznego. Około dwudziestu pięciu milionów obywateli rozpoczęło więc pośpieszną, lecz planową ewakuację - wszystko to jako środek ostrożności wobec spodziewanego lądowania nie uzbrojonej rakiety ratunkowej.

Buck ocknął się z niespokojnego półsnu w momencie, gdy rakieta poczyniała się zbliżać do odsłonecznej strony planety. Wszystkie przyrządy obserwacyjne, jakimi tylko dysponował człowiek, pracowały starając się uzyskać wszelkie dostępne dane, ale dla Bucka sprawy techniczne były najzupełniej obojętne. W chwili kiedy stwierdzono obecność wiązek kierunkowych, Buck ziewał pracowicie. W chwili gdy promienie urwały się raptownie, przystępował właśnie do przeciągania się. Otrząsał się z rozkoszą, kiedy analizatory doniosły, że

atmosfera planety jest podobna do atmosfery ziemskiej; wykazuje wprawdzie nadwyżkę gazów szlachetnych dość znaczną, nie przekraczającą jednak proporcji charakterystycznych dla mieszanek azototlenowych.

Tymczasem rakieta opuszczała się ostrożnie, wypatrując wszelkich - możliwych niebezpieczeństw. Aparatura podczerwona wykryła brzeg morski i jakieś bliżej nieokreślone urządzenia, stanowiące być może wyposażenie portu. Maynard poderwał natychmiast stateczek pionowo w górę, ale w odległości wszystkiego stu pięćdziesięciu mil zbliżył się do planety. Cóż, jego zdaniem było dać się zabić, o ile mieszkańcy planety rozporządzają odpowiednimi środkami, ale nie miał przecież obowiązku ułatwiać im tego. Jeżeli wykryli, że rzekoma kometa, przybyła z kosmosu, jest w istocie statkiem międzygwiazdowym, i tak mają się na baczności. A jeżeli są istotami, które wymordowały kolonistów z Capella 3, za wszelką cenę będą się starali nie dopuścić, by rakieta powróciła do swego statku macierzystego.

Wreszcie, z nieskończoną ostrożnością, rakieta wylądowała w terenie pokrytym - jak pokazywały analizatory - gęstą roślinnością o pierzastym listowiu. Mijały nie kończące się minuty, a Maynard wciąż siedział w najwyższym napięciu, gotów błyskawicznie poderwać stateczek w niebo na pierwszą oznakę jakiegś wrogiej akcji. Ale nic takiego nie zaszło. Mikrofony transmitowały wprawdzie z zewnątrz różne dźwięki, ale nie ulegało wątpliwości, że są to tylko przypadkowe odgłosy zwykłego życia leśnej głuszy. Po długiej chwili Maynard uchylił iluminatora. W dalszym ciągu nic.

- Jeżeli ktoś chce się wybrać na ochotnika po okazji biologiczne - oznajmił wreszcie - niech idzie. Ale

ostrzegam, że w razie alarmu mogę wystartować nie czekając na nikogo. Będę się starał wymknąć, w ten sposób przekonam się najlepiej, co nasi wrogowie są w stanie uczynić, żeby nas zatrzymać.

Odpowiedziało kilka głosów. Potem rozległ się szcęk otwieranych drzwi. Buck ruszył wesoło w stronę wyjścia. Z zewnątrz powiało na niego mnóstwo intrygujących woni. Kilku mężczyzn wyszło już na dwór; posuwali się ostrożnie, z bronią w pogotowiu. Drzwi pozostały otwarte, tylko w pobliżu czuwał mężczyzna, gotów je w każdej chwili zatrzaskać i zaryglować, gdyby rakieta była zmuszona do nagłego startu. Dla ludzi opuszczenie rakiety było aktem niepośledniej odwagi - mogli przecież już nie powrócić, jeżeli istoty zamieszkujące planetę okażą się rzeczywiście wrogie i stateczek, który ich tutaj przywiózł, przystąpi do wykonania powierzonej misji ściągnięcia na siebie nieprzyjacielskiego ognia. Ale Bucka intrygowały tylko nieznanne zapachy. I owszem, wielką radością byłoby znaleźć się na powrót w towarzystwie Holdena, lecz i ci ludzie są także jego przyjaciółmi. A skoro oni zapuszczają się w ów świat niezliczonych nowych woni...

I Buck skoczył miękko na ziemię. Od razu znalazł zatrudnienie dla swego nosa. Już sama gleba miała woń inną niż na Ziemi. Nowa była roślinność. Odkrył też tropy niewątpliwie zwierzęce, pozostawione jednak przez zwierzynę, z której zapachem nigdy dotąd się nie zetknął. Słyszał obok siebie poruszenia jednego z mężczyzn, zajętego pobieraniem próbek wegetacji. Bardzo wiele wniosków można było wyciągnąć z analizy skrobi i błonnika zawartego w roślinności obcej planety. Ale Buck mógłby powiedzieć znacznie więcej na podstawie tego, co odkrył za pomocą węchu. Tędy jakieś mięsożerne zwierzątko goniło małą



trzepoczącą się istotkę, która to wzbijała się w gąszcz zwisającej roślinności, to znów opadała na ziemię. Tu znów inne zwierzątko, roślinożerne, bez żadnego widocznego powodu dało w przerażeniu olbrzymiego susa, widocznie spadła na nie jakaś istota latająca, ale chybiła. Tędy zaś przesunęło się wyraźnymi skokami coś, co niemal do złudzenia przypomina zapachem żmiję. Tam znowu jakieś zwierzę ciepłokrwiste pozostawiło trop ciągły, posuwając się na brzuchu.

Buck nie ustawał w swoich poszukiwaniach, bez reszty pochłonięty tym światem nowych woni. Od czasu do czasu słyszał dźwięki powodowane przez ludzi i to dodawało mu pewności siebie. Więc oddalał się coraz dalej i dalej od rakiety, czasami tylko zatrzymując się i nasłuchując. Znalazł właśnie norę jakiegoś zwierzęcia i pracowicie obwąchiwał wejście do niej, kiedy rozległy się odgłosy mające istotne znaczenie.

Pierwszy z odgłosów zaczął się gdzieś na horyzoncie i stopniowo przybliżał się ku zenitowi. Był to niski, jednostajny warkot, jaki wydają nadlatujące maszyny atmosferyczne. Buck niejednokrotnie słyszał podobny warkot na Ziemi. Był to dźwięk mechaniczny, a więc dźwięk powodowany przez człowieka, a więc dźwięk, wobec którego nie należało żywić żadnych obaw ani podejrzeń. Równocześnie począł zbliżać się odległy stukot. Ten znów przypominał hałas powodowany przez buldożery lub inne podobne pojazdy mechaniczne używane przez człowieka, a więc i jego nie było się co bać. Buck jął dalej entuzjastycznie obwąchiwać norę.

Teraz rozległy się energiczne głosy męskie. Gdyby to wołał Holden, Buck natychmiast puściłby się pędem. Ale innych ludzi nie słuchał tak bez

zastrzeżeń. Niuchnął jeszcze raz i drugi ociągając się. Kiedy wreszcie ruszył bez pośpiechu w stronę, skąd dochodziły nawoływania, posłyszał skowyt rakiety wzbijającej się w niebo. Nie przyszło mu nawet do głowy, że ludzie mogli go tu pozostawić - tak samo jak musieliby w podobnych okolicznościach opuścić kolegę - bo ich zadaniem było przekonać się, jakim uzbrojeniem dysponuje planeta, i ażeby to wy badać dokładnie, chcieli znajdować się w powietrzu.

Kiedy jednak dotarł do miejsca, gdzie wylądowała rakietka - rakiety nie było.

Buck stanął - jak wryty. Brzęczenie nad głową urosło już w grzmiący, kołujący ryk. W ciemności krążyło nad nim tam i z powrotem wiele, wiele maszyn latających, tak ugrupowanych, że doprawdy niepodobieństwem wydawało się, aby rakietka mogła się wymknąć cało z pola ostrzału kierowanych za pomocą radaru pocisków. Równocześnie zbliżał się co najmniej z trzech różnych stron mechaniczny stukot.

Buck zaczął z niedowierzaniem obwąchiwać miejsce, gdzie niedawno stała rakietka - a teraz jej nie było. Potem ruszył niespokojnie tropem mężczyźni, którzy pobierali próbki roślinności. Nie do pojęcia było, żeby ludzie mogli go opuścić. Wracał raz po raz na miejsce, gdzie zatrzymała się rakietka. Oczywiście, czuł się nieszczęśliwy, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że ludzie pozostawili go tu na dobre. Czekał niecierpliwie, kiedy się spostrzegą, że o nim zapomnieli, i powrócą, żeby go zabrać.

Warkot zataczał wciąż kręgi po ciemnym niebie. Stukot zbliżał się zza ściany mroku. Wszystko to są maszyny używane przez ludzi, nie jego ludzi może, ale zawsze ludzi, którzy na pewno polubią wielkiego, brunatnego, dobrze ułożonego psa z obrozą na szyi, informującą, że jego panem jest niejaki Holden. A

może nawet pomogą mu powrócić do Holden'a. Na razie jednak Buck kręci się niepewnie w miejscu, na które jak dotąd rakieta nie powróciła. A hałas i stukot narasta.

Kiedy stukot był już bardzo blisko, z góry trysnęło jaskrawe światło; wydobywało się z samolotu, zataczającego nad głową psa zawrotnie małe i niskie kręgi. Bezlitośnie obnażało wszystko dookoła - i Buck zamrugał oślepiony. Ale nie przejął się tym zbyt. Maszyny jeżdżące po ziemi, maszyny latające, jaskrawe światło - wszystkim tym posługuje się człowiek. A szanujący się pies potrafi nawiązać poprawne stosunki z każdym człowiekiem. Choć oczywiście nie mogą to być takie wyjątkowe stosunki, jakie łączyły Bucka z załogą macierzystego statku, nie mówiąc już o więzach łączących go z panem, które są jedyne w swoim rodzaju.

Buck usunął się przezornie z drogi, bo teraz zabłysły także przenikliwe reflektory maszyn, które ze stukotem przedzierały się przez puszcze, roztrzając z wielką siłą pierzaste drzewa. Usunął się z drogi, ale ani myślał kryć się w ciemności. Mrugał oczami i merdał machinalnie ogonem, gotując się, by z należytą kurtuazją przyjąć ludzi, którzy wysiądą z bliskich już maszyn. Ma się rozumieć, że pomogą mu odnaleźć Holden'a.

Jedna z maszyn stanęła i coś z niej wysiadło. Nie była to jednak istota ludzka. Przez chwilę Buck węszył z niedowierzaniem. Potem sierść mu się zjeżyła. Nie wierzył samemu sobie. Przecież maszynami posługują się ludzie. Tylko ludzie. Masańczyk zbliżał się ku niemu, więc Buck warknął ostrzegawczo. Poraziła go nie znośna jasność. Warknął ponownie i zjeżył się jeszcze bardziej. Ten wielki, brunatny pies ostrzegał teraz, ażeby istoty, które zapewne niszczyły jednostki

ziemskiej floty międzygwiazdnej i dewastowały kolonie ziemskie, nie ważyły się go tknąć. Buck naturalnie nic nie wiedział o zaginionych statkach i masowych mordach. Był tylko psem, psem należącym do człowieka, i nie wyobrażał sobie, ażeby mogła istnieć jakaś inna Istota równa człowiekowi, której rozsądny pies nie powinien się sprzeciwić.

Była to co się zowie niecodzienna scena. Dziwne, niesamowite drzewa, wspinające się ku zasnutemu chmurami niebu, po którym obłędnie ciasne kręgi zatacza snop jaskrawego światła. Olbrzymie, połyskliwe maszyny o silnych, niezwykle silnych reflektorach, przesywających pierzaste listowie i kreślących ziemię mnóstwem ostrych cieni. I pierścień Masańczyków, mieszkańców czwartej planety układu Masa Gama - istot na dobrą sprawę niezbyt różniących się od człowieka - otaczający miejsce, gdzie niedawno wylądowała rakietka ratunkowa, a w tej chwili osaczony stoi wielki, brunatny pies i warczy ostrzegawczo.

Przez jakiś czas trwało oczekiwanie. Jednakże istoty, które potrafią wysyłać w przestrzeń sygnały radiowe, które posiadają komunikację międzyplanetaryną i radar, nie mogą być takie znów głupie. Ponadto w pojazdach zainstalowane były jeszcze urządzenia nadawcze, które za pomocą wiązek kierunkowych przekazywały do punktów obserwacyjnych wszystko, co działo się w polu widzenia. Dzięki temu świadkami spotkania mogły być najtęższe mózgi planety. I zapewne właśnie przed ekranem w którymś z obserwatoriów zorientował się ktoś, że przecież łapy Bucka nie są absolutnie przystosowane do obsługiwanego jakiegokolwiek mechanizmu ani tym bardziej do budowania statków przestrzennych. A może

stwierdzono to w wyniku jakichś bardziej skomplikowanych zabiegów.

Dość że rozległy się dźwięki, w których Buck rozpoznał mowę, jakkolwiek nie mógł zrozumieć ani słowa. Odwrócił się powoli od pierwszej istoty, która wciąż jeszcze stała w tym miejscu, gdzie zatrzymała się na jego warknięcie. Zamrugał z godnością, oślepiiony przez krąg reflektorów. Jednakże żadne ze światel nie przybliżyło się. Więc ograniczył się do kilku krótkich, pełnych godności pomruków ostrzegawczych. Jego panowie byli tu i odjechali. Ale wrócą. Wrócą na pewno. Nie myli się co do tego. I on tu będzie na nich czekał. Maszyny mogą sobie krążyć, jeśli im się podoba. Jego panowie prawdopodobnie życzą sobie, żeby krążyły, więc on się temu nie będzie sprzeciwiał. Ale z tego miejsca się nie ruszy.

Ostentacyjnie obrócił się dwa razy w kółko i położył na ziemi. Ale łba nie opuścił i wciąż mrugał oczami. Leżał spokojnie i z godnością, ażeby pokazać, że ludzie zostawili go tu, więc musi czekać, kiedy powrócą, żeby go zabrać. A w duchu żywił rozpaczliwą nadzieję, że to Holden wróci po niego.

Do Departamentu Wojny na Masa 4 nadszedł raport. Był to raport ścisły i rzeczowy. Opisywał dokładnie cały postój małej rakiety międzyplanetarnej w północnym okręgu Pierwszego Kontynentu. Ponadto wraz z raportem przekazano fotografie śladów ludzkich i miejsca, gdzie wylądowała rakieta, oraz zdjęcia filmowe Bucka. Jemu poświęcona była również większa część raportu.

Inteligencja ograniczona, ale niewątpliwa - głosił raport. - Posiada umiejętność współżycia z innymi istotami. Nie zachowuje się ani specjalnie przyjaźnie, ani wrogo, lecz z pobłażliwością. Najwidoczniej

przyzwyczajony do maszyn, odnosi się do nich bez obaw, ale i bez zainteresowania. Wykazuje zadziwiająco pewność siebie, tak jakby miał jakieś podstawy do zachowania niezależności od istot o wyższej inteligencji. Jednakże nie przejawia wrogości, dopóki nie próbuje się oddziaływać na niego. Wydaje się, że należy do jakiegoś gatunku podporządkowanego istotom, które wybudowały statek przestrzeny, chociaż jego użyteczność nie jest jasna, gdyż nie posiada ani chwytliwych kończyn, ani żadnych dostrzegalnych uzdolnień technicznych, predysponujących go do nadzorowania mechanizmów... Obecnie przystąpiliśmy do instalowania psychoanalizatorów i będziemy starali się uzyskać dalsze szczegóły na podstawie wspomnień utrwalonych w mózgu stworzenia, które oczywiście nie powinno zorientować się, że dokonujemy na jego osobie jakichś badań. W tym celu dokładamy wszelkich starań, ażeby nie naruszyć jego równowaga duchowej...

Następny raport donosił:

Przy pomocy psychoanalizatorów udało się wydobyc z badanego stworzenia wspomnienia wzrokowe i słuchowe o całkowicie zadowalającej ostrości. Okazuje się, że należy ono do gatunku żyjącego w symbiozie z istotami, które obsługują statek międzygwiazdny. Jego użyteczność dla istot wyżej ukształtowanych pozostaje w dalszym ciągu nie wyjaśniona, natomiast jego zależności od tych istot - które, nota bene, są wcale podobne do nas - niezbicie dowodzą zapisy dołączone do niniejszego raportu. Wrażenia wzrokowe stworzenia są stosunkowo ubogie, za to posiada ono znakomity węch i słuch. Szczególnie żywe są jego wspomnienia węchowe. Tak na przykład jego wspomnienia

wzrokowe obejmują tylko niektórych członków załogi statku międzygwiazdowego, podczas gdy wspomnienia węchowe obejmują wszystkich bez wyjątku. Natomiast dane techniczne, jakie można uzyskać od "Bucka" - bo takie jest wspomnienie słuchowe znane stworzeniu jako własne imię - są minimalne albo zgoła żadne, a to z uwagi na jego całkowity brak zainteresowania takimi sprawami. Wspomnienia przypuszczalnej bazy macierzystej na planecie, z której przybywają agresorzy, ograniczają się niemal wyłącznie do wrażeń węchowych. Poza tym stworzenie interesuje się ogromnie wszelkimi drzewami i słupami oraz zapachami, jakie z nimi kojarzy... Żałujemy bardzo, że nie udało nam się uzyskać żadnych istotniejszych danych technicznych...

W odpowiedzi nadszedł z Departamentu Wojny rozkaz następującej treści:

**UWAGA. SPRAWA NIE CIERPIĄCA ZWŁOKI. NINIEJSZY ROZKAZ ANULUJE WSZYSTKIE BEZ WYJĄTKU ROZKAZY DOTYCHCZASOWE. NIECHAJ ŻADEN OBYWATEL NIE PODEJMUJE JAKIEJKOLWIEK AKCJI NIEZGODNEJ Z TREŚCIĄ TEGO ROZKAZU.**

Rada Planetarna zdecydowała, że nasza postawa wobec agresorów zostanie ostatecznie ustalona po uwzględnieniu wszystkich wiadomości, jakie będzie można uzyskać od tzw. Bucka. Chodzi szczególnie o zbadanie wzajemnych stosunków istot wyższych i niższych. Jak wiadomo, istnieją metody psychologiczne oddziaływania na rasy zależne tak, ażeby były one uległe wobec swoich tyranów. W jakiej mierze któraś z tych metod stosowana była wobec Bucka i



jaka to była metoda? Jakie prawa przysługują rasie niższej? Jakie kary są na nią nakładane za przekroczenie tych praw i czy pozostawiają one jakieś trwałe piętno społeczne? W jakiej mierze Buck może oczekiwać od swoich panów lojalności? Czy istnieje jakiś kodeks, pisany lub zwyczajowy, regulujący stosunki obu ras i czy rasa wyższa go respektuje? Czy...

W dalszym ciągu rozkaz wdawał się we wszelkie możliwe szczegóły. Jego myślą przewodnią było przypuszczenie, że mózg Bucka - jako stworzenia współżyjącego z człowiekiem - powinien zawierać całkowicie obiektywny obraz rasy ludzkiej. Na stosunek Bucka do własnych wspomnień można było wpływać, ale same wspomnienia powinny być nie zniekształcone. Psia wizja ludzkości powinna się więc okazać wizją nader interesującą.

Rada Planetarna uznała za słuszny wniosek, że od Bucka nie uzyska się żadnych danych technicznych ani militarnych. Ale bezcenne mogą się okazać te wiadomości, które da się od niego uzyskać. Żaden człowiek nie zasługiwałby na pełną wiarę jako informator o swoim własnym gatunku. Ale pies...

Rada Planetarna nie przerwała przygotowań wojennych. Nikła była nadzieja, aby przyszłość mogła przynieść cokolwiek innego niż nieprzerwane pasmo walk i zmagañ. Ale jeśli była jakakolwiek nadzieja, to koncentrowała się ona bez reszty na Bucku.

Co do Bucka, to położenie, w jakim się znalazł, było dlań całkiem niepojęte. Miejsce lądowania rakiety było teraz ogrodzone, a on sam uwięziony wewnątrz ogrodzenia. Istoty, które nie były ludźmi, odnosiły się wprawdzie do niego z respektem, on zaś jako dobrze wychowany i szanujący się pies odpłacał im należną

kurtuazją, ale równocześnie te same istoty wciąż podsuwały w jego stronę jakieś aparaty, a to już zdecydowanie mu nie odpowiadało. Teraz na przykład miał przed sobą megafon, który wydawał najrozmaitsze dźwięki. W pewnej chwili megafon szczeknął głosem do złudzenia przypominającym pewnego znajomego psa. Tak, Buck doskonale pamiętał psa z bazy w Rigel, którego głos brzmiał identycznie. Odszczeknął gniewnie, ale tamto szczekanie już się nie powtórzyło. Innym razem odezwał się głos Holdena. Buck aż podskoczył z niezmiernej radości i merdając tak, że z ogona utworzyła się ruchoma smuga, zapamiętał się w ujadaniu i skowycie, jakimi zawsze wita pies swego pana powracającego po wielodniowej nieobecności. Kiedy wreszcie zorientował się, że to tylko megafon, ugiął się pod ciężarem zawodu. Skomląc biegł wzdłuż ogrodzenia i wypatrywał Holdena.

Badano także jego reakcje na różne inne bodźce... Jeden z Masańczyków przyniósł mu jedzenie. Z początku Buck poniuchał je nieufnie i odszedł. Jeśli już miał jeść jakieś nieznanne rzeczy, to wolałby coś sam sobie upolować. Potem jednak skapitulował i zjadł. Masańczyk zaopatrzony był w przenośny megafon, który od czasu do czasu wołał: "Buck", "Buck". Buck wprawdzie pomachiwał wesoło ogonem na dobrze znane słowo. Ale nawet gdy Masańczyk nauczył się sam je wymawiać, nie wyzbył się wobec niego rezerwy. Bo Buck tęsknił za ludźmi. A już szczególnie za swoim panem. Gdy tylko zapadł w drzemkę, we śnie pojawiał mu się Holden. Gdy zasnął mocniej, częstokroć nawiedzały go sny tak wyraźne, że łapy same drgały krótkim, urywanym skurczem bezsilnego buntu. Kiedy indziej szczeknął, zawył lub zaskomlał przez sen, lecz przeważnie było to

skomlenie niepohamowanej radości, gdy w swych snach ujrzał Holdena.

Buck ani przeczuwał, że aparaty podsuwane mu przez Masańczyków rejestrują wspomnienia przewijające się przez jego mózg pod wpływem coraz to większej ilości bodźców, jakim Masańczycy byli w stanie go poddać. Buck rozumiał znaczenie ponad stu słów, o ile wypowiedane one były określonym tonem. Słowa te, powtarzane przez megafon na podstawie zapisów wydobytych ze wspomnień Bucka, wywoływały niezmiennie te same reakcje.

Podczas gdy przygotowania do ataku na "Kennessee" postępowały nieprzerwanie naprzód, równocześnie prowadzili Masańczycy intensywne badania nad Buckiem. A w miarę jak wzrastała znajomość jego psychiki, starali się także zaskarbić jego przyjaźń. Masańczyk, któremu to zadanie przypadło w udziale, nie szczędził żadnego wysiłku, ażeby tylko zastąpić Buckowi Holdena. Posługiwał się więc nagraniami jego głosu. Próbował głaskać Bucka w sposób, który - jak świadczyły wspomnienia wprawiał stworzenie w stan najwyższego szczęścia. Raz nawet zaczął się tarzać z Buckiem po ziemi, bo niekiedy czynił to Holden. A wymagało to niemałej odwagi, bo Buck był wielki i silny, Masańczyk zaś nieduży i stosunkowo wątkły.

Ale Buck nie chciał się bawić. I owszem, zachowywał się uprzejmie i grzecznie, ale była to tylko grzeczność, do jakiej czuje się zobowiązany pies wobec innych zwierząt hodowanych przez człowieka, takich jak konie, krowy czy owce, od biedy nawet koty. Ale żaden pies nie będzie przecież baraszkował ze skaczącym jagnięciem ani ganiał się z płochliwym żrebakiem. Więc Buck zachowywał rezerwę. Ani myślał rezygnować ze swej lojalności wobec ludzi w

ogóle, a w szczególności wobec Holdena. Jadł wprawdzie i łaskawie tolerował masańskiego uczonego, który nie zdołał mu zastąpić Holdena, chociaż uchodził za jedną z dwu czy trzech najtęższych głów w układzie Masa Gama. Ale mimo że jacll, markotniał coraz bardziej w miarę, jak upływały dni rozciągające się w końcu w tygodnie. Markotniał i chudł, choć zdawał sobie podświadomie sprawę, że te dziwne istoty, które nie były ludźmi, polubiły go bez zastrzeżeń.

Ale cóż, pies, który należał do człowieka, nie czuje się dobrze, kiedy zostanie od człowieka oddzielony.

“Kennessee” posuwał się nadal po wybranej orbicie.

Powróciwszy na pokład macierzystego statku, Maynard tłumaczył, jak umiał, niefortunna historia z Buckiem i Holden przyjął to tłumaczenie do wiadomości, jednakże ani jednemu, ani drugiemu wyjaśnienie nie przyniosło ulgi. Nie czekano by i na człowieka w podobnych okolicznościach, ale z psem sprawa ma się trochę inaczej. Pies nie potrafi sam myśleć o sobie. Wszyscy rozumieci, że nie było innej rady, że trzeba było Bucka pozostawić, jednakże wszystkim było przykro.

Materiały przywiezione z Masa 4 zostały poddane dokładnym badaniom. Równocześnie gromadzono coraz to nowe zapisy przestrzennych sygnałów radiowych, kontynuowano obserwacje planety przy pomocy teleskopów elektronowych, zbierano coraz liczniejsze dowody istnienia wysokiej cywilizacji. I nieprzerwanie towarzyszyły krążownikowi wiązki kierunkowe wysyłane z Masa 4.

W ogóle sytuacja była nad wyraz wątpliwa i napięta do ostateczności. Na spotkanie zbliżającej się rakiety ratunkowej wyruszyły wprawdzie tylko pojazdy

terenowe i samoloty atmosferyczne. Na pozór mogłoby się wydawać, że świadczy to o bardzo ograniczonych możliwościach obronnych. Jednakże z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że w układzie Masa Gama istnieje komunikacja międzyplanetarna. A towarzyszące "Kennessee" wiązki kierunkowe oraz natychmiastowe wykrycie rakiety ratunkowej dowodziło, że mieszkańcy układu doskonale wiedzą, iż nie z kometa mają do czynienia.

Cywilizacja dysponująca środkami komunikacji międzyplanetarnej oraz sygnalizacji przestrzennej, a nie posiadająca dostatecznych środków obronnych niewątpliwie próbowałaby w takiej sytuacji nawiązać kontakt z "Kennessee". Próbowałaby nawiązać kontakt chociażby po to, ażeby wyczerpać wszelkie możliwości negocjacji z agresorem. Fakt, że żadna tego rodzaju próba nie miała miejsca, niczego dobrego nie wróżył. Wskazywał raczej, że rasa zamieszkująca planety przyczaiła się w oczekiwaniu chwili, kiedy będzie mogła niespodzianie wymierzyć śmiertelny cios. Nic więc dziwnego, że załoga "Kennessee" żyła w stanie skrajnego napięcia nerwowego, czuwając bez przerwy przy detektorach i dźwigniach, gotowa natychmiast wprowadzić krążownik w przyspieszenie, gdyby tylko wykryto zbliżający się zdalnie kierowany pocisk o dużej szybkości.

- Wcale mi się to wszystko nie podoba - któregoś dnia przyznał się Holdenowi kapitan. - My na ich miejscu na pewno staralibyśmy się nawiązać kontakt z takim przybyszem z przestrzeni. Tylko że ci piraci pojawili się zniemacka na Capella 3 i od razu zaczęli mordować, zanim można było przystąpić do jakiegokolwiek akcji. Chyba to jednak oni muszą zamieszkiwać planety. Dobrze, że zdążyliśmy wysłać

meldunek na Ziemię. Jak nie wrócimy, będzie chociaż wiadomo, gdzie skierować flotę z bombami międzyplanetarnymi. - Nie mogę odżałować, że to nie ja dokonywałem tej próby lądowania - powiedział Holden twardo. - Czy wyślemy jeszcze jedną torpedę z wiadomościami na Ziemię?

- Nie. I poprzestaniemy na tej jednej próbie lądowania - odrzekł kapitan. - I tak jest absolutnie nieprawdopodobne, żeby ci się udało odnaleźć miejsce, gdzie lądowała tamta rakietka. Zresztą Buck...

- Tak, został na pewno zabity, jak tylko go znaleźli - dokończył Holden.

Nie mógł mieć o to do nikogo pretensji, nie przeszkadzało to jednak, że był rozgoryczony. Brakowało mu Bucka.

Aż oto dwunastego dnia od jego zaginięcia od Masa 4 oderwał się statek międzyplanetarny, "Kennessee" zdążył już okrążyć planetę i zmierzał teraz do punktu perihelijnego po przeciwnej stronie jej słońca. O ile dotrze cało do tego miejsca, kapitan zamierzał wprowadzić krążownik w przyspieszenie i ze wszystkimi uzyskanymi wiadomościami wyruszyć w drogę powrotną do bazy. Ale pojawienie się statku międzyplanetarnego pokrzyżowało cały ten plan.

Z pozoru wydawało się, iż jest on poruszany przy pomocy napędu raketowego, statek ciągnął bowiem za sobą jakby ogon wyrzucanych gazów. Jednakże spektroskopy wykazały, że jest to po prostu produkt spalania jakiegoś związku węglowodorowego. Poza tym "ogon" nie posiadał najmniejszej siły odrzutu, która dowodziłaby, że spełnia on jednak rolę napędu. Przypominało to pasma dymu rozsnuwanego nieraz przez samoloty dla celów reklamowych.

Po dwóch dniach lotu statek oddalił się dość znacznie od planety, po czym łagodnym łukiem zmienił kurs.

Niedługo potem do kabiny kontrolnej przyszedł oficer nawigacyjny z meldunkiem, że zarówno kierunek, jak i szybkość jego lotu wskazują na to, iż statek pragnie się zbliżyć jak najbardziej do "Kennessee" i nawiązać łączność. Potem "ogon" dymu jał na przemian cienie i grubieć, cienie i grubieć - niechybnie po to, ażeby przyciągnąć uwagę krążownika.

W kabinie kontrolnej odezwał się megafon.

- Panie kapitanie - zabrzmiał ochryply głos Holdena. - Nasza pseudorakieta zarzuca nas wszelkimi możliwymi sygnałami. Wciąż podnosi i obniża widmo, próbuje modulować częstotliwość i amplitudę, i tak dalej. Niech pan tylko posłucha.

I w megafonie rozległo się wesołe: "Luf"! Najwyraźniej było to szczeknięcie Bucka. A zaraz potem ludzki głos zawołał: "Buck". Chociaż zniekształcony trochę, był to ponad wszelką wątpliwość autentyczny głos Holdena. Jak szalony wykrzykiwał teraz: "Buck, leżeć", "Do nogi, Buck", "Przynieś to, Buck, przynieś". I różne podobne rozkazy, na które Buck był nauczony reagować. Jako środek nawiązania łączności pomiędzy dwiema obcymi i nie ufającymi sobie nawzajem rasami - zasób wyrażeń znanych wielkiemu brunatnemu psu imieniem Buck odznaczał się wprawdzie zbytnią bezceremonialnością. Ale czyż można sobie było wyobrazić coś równie niedwuznacznego w intencjach?

- Wie pan, co to oznacza, kapitanie? - powiedział Holden drżącym głosem. - Oni musieli to wszystko jakimś sposobem wydobyć z mózgu Bucka. Wyczytali to w jego pamięci. Tak, innej możliwości nie widzę. A



teraz chcą z nami nawiązać łączność. - Po czym dodał głucho: - Tylko czy oni go nie zabili, żeby móc się grzebać w jego mózgu...

- Holden - rzekł kapitan. - Bądź tak dobry i odpowiedz im. Tylko musisz przemówić jak do Bucka, zobaczymy, co będzie.

W megafonie kabiny kontrolnej rozległ się głos Holdena skierowany do innego mikrofonu.

- Buck - mówił Holden chrapliwie. - Słyszysz mnie, staruchu? Odezwij się. Słyszysz mnie, Buck?

W odpowiedzi megafon zaniósł się radosnym ujadaniem, jakim Buck witał zawsze swego pana. Buck szczekał i warczał, skomlał i skowyczał, aż wreszcie znów przeszedł w nieprzytomne ujadanie. Stworzenie oszalało z radości.

- To on, panie kapitanie... - powiedział Holden niepewnie. - Usłyszał mnie. A więc nie zrobili mu żadnej krzywdy. Kapitanie, chyba trzeba będzie...

- Tak, Holden, masz zupełną rację - rzekł kapitan opanowanym głosem. - Właśnie miałem ci powiedzieć, żebyś wziął raketę ratunkową i spróbował dowiedzieć się czegoś bliższego o tych istotach. Może uda ci się wejść z nimi w bezpośredni kontakt. Istoty, które potrafiły poznać się na porządnym psie i mają dość uczciwości, żeby zwrócić go prawowitemu właścicielowi, nie mogą być tymi samymi istotami, które dokonały masakry pół miliona ludzi na Capella 3.

Masański uczonek, który miał zastąpić Buckowi Holdena, zaprzyjaźnił się dosyć ze swoim rywalem, kiedy "Kennessee" wylądował na Masa 4. Do bazy macierzystej wysłana została jeszcze jedna torpeda, ażeby wyjaśnić dokładnie sytuację i przedstawić powody, które skłoniły załogę do nawiązania przyjaznych stosunków z mieszkańcami układu Masa

Gama. Ma się więc rozumieć, że gdyby “Kennessee” nie powrócił, nikt na Ziemi nie miałby wątpliwości, kto jest odpowiedzialny za zaginięcie krążownika. Jednakże Masańczycy wydawali się tym wcale nie przejmować, nie przejmowali się przeto i członkowie załogi.

- Wszystko to świetnie się uzupełnia - tłumaczył Holdenowi masański uczoney. - Posiadając energię atomową możecie promieniom świetlnym, z którymi was zaznajomiliśmy, nadać dowolną siłę. Dzięki temu łatwiej damy sobie radę z naszymi wspólnymi wrogami. To śmieszne, że my jako napęd w komunikacji międzyplanetarnej nauczyliśmy się wykorzystywać promienie świetlne, bo nie znaleźliśmy energii atomowej, a wy odkryliście energię atomowa, bo nie posiadaliście naszych promieni świetlnych.

- Na pewno znajdzie się jeszcze wiele innych rzeczy, które się w ten sposób będą zazębiały - powiedział Holden. - Będziemy mogli nawzajem uzupełniać naszą wiedzę, o ile oczywiście nie utracimy do siebie zaufania.

- Tak - rzekł Masańczyk jakoś melancholijnie. - I pomyśleć, że my mieliśmy zamiar spalić was promieniami świetlnymi, bośmy się was bali, a wy chcieliście zniszczyć naszą cywilizację przy pomocy bomb międzyplanetarnych, bo baliście się nas. Jeśli do tego nie doszło, to zawdzięczamy to tylko Buckowi.

- Mimo wszystko - powiedział Holden z zażenowaniem - ja ciągle nie jestem w stanie pojąć, jak wyście mogli tak bez reszty nam zaufać. Obawiam się, że my byśmy nie zaufali tak dalece nieznanym sobie istotom. Czy możliwe, żeby to wszystko było zasługą Bucka...

- Jednakże tak - odparł Masańczyk poważnie. - Wydobyliśmy z jego mózgu wszystkie wspomnienia.

Absolutnie wszystkie. I okazało się, że jego gatunek uwielbia człowieka. Buck przyjałby z rąk człowieka nawet okrucieństwo. Ale ludzie nie byli wobec niego okrutni. Bez wahania oddałby za człowieka życie, ale nikt tego od niego nie żądał. Jest wam oddany bezgranicznie, ale i wy za oddanie odpłacaliście mu przyjaźnią. Czy wiesz, co skłoniło ostatecznie Radę Planetarną, żeby zastosować wobec ludzi polityką pełnego zaufania?

- No, nie... - przyznał Holden.

- Twoje przywitanie z Buckiem, kiedy po raz pierwszy wkroczyłeś na pokład naszego statku - powiedział z uśmiechem Masańczyk. - Buck już przedtem zdradził nam wszystkie swoje sekrety. Sam o tym nie wiedząc stał się niemal że zdrajcą. Wyjawiał nam wszystko, co sam wiedział o człowieku. Ale trzeba było widzieć tę scenę powitania. Buck skoczył na ciebie i razem zaczęliście się tarzać po podłodze. Ściskaliście się jak kochankowie. A ty ani pomyślałeś, że takie "wielkie psisko może ci niechcący zrobić krzywdę. Ucieszyłeś się na jego widok tak samo, jak on na twój. I to rozstrzygnęło ostatecznie o naszej polityce. Wiedzieliśmy już, że ludzie za zaufanie odpłacają lojalnością. - Po chwili Masańczyk dodał: - To znaczy, większość ludzi.

- No, tak - potwierdził Holden, znów zażenowany. - To właśnie niepokoi naszego kapitana. Powiada, że wy się zachowujecie zupełnie tak, jakby wszyscy ludzie byli tacy porządni, za jakich mają nas psy. A to nieprawda. Będziecie musieli w przyszłości... będziecie musieli trochę bardziej z nami uważać...

- Dowiedzieliśmy się i tego od Bucka - stwierdził Masańczyk. - Ale dowiedzieliśmy się także, że zawsze znajdziemy ludzi, którym będziemy mogli zaufać.

Przez ciemnozielony trawnik nadbiegł szalonymi susami Buck. Holden siedział wraz z Masańczykiem na czymś w rodzaju tarasu przed jego domem. Buck dopadł ich, dysząc radośnie, i położył pysk na kolanach Holdena. Potem machnął Masańczykowi łaskawie ogonem i znów pognał przed siebie.

- Do mnie nigdy nie podbiegnie w ten sposób - powiedział Masańczyk. - A ja... tak, myślę, że lubię go nie mniej od ciebie.

- To dlatego, że ja jestem jego panem - wyjaśnił Holden. - Ale traktuje ciebie jak człowieka. Nie zauważyłeś tego?

- Masz rację. Nie zwróciłem uwagi, ale tak, masz rację. Słuchaj, musimy i my zacząć hodować psy. Psy powinny nas polubić, tak samo jak ludzi. Wówczas człowiek, który lubi psy, łatwiej zaufa Masańczykowi, który także je lubi, i na odwrót. - Masańczyk zaśmiał się. - Bo czyż moglibyśmy nie zaufać człowiekowi, którego porządny pies ma za pana? W ten sposób ludzie staną się nam braćmi.

Na tym kończy się ten krótki epizod z historii poszukiwań korsarzy międzygwiazdnych. Wszyscy wiemy, że zamieszkiwany przez nich układ został w końcu odnaleziony, i wszyscy wiemy, że nim zdążyliśmy nawiązać z nimi jakiegokolwiek pertraktacje, już ich statki przestrzenne z szaleńcza wściekłością atakowały naszą flotę. A więc sprawa musiała się zakończyć ich całkowitą zagładą - albo też zagładą ludzi i Masańczyków. Wówczas to po raz pierwszy statki ziemskie posłużyły się w walce masańskimi promieniami świetlnymi. Ale to historia, którą wszyscy znają.

Nie wszyscy natomiast wiedzą, że przed gmachem Rady Planetarnej na Masa 4 stoi pomnik Bucka.

Masańczycy uważają to za rzecz zupełnie naturalną. Lubią psy ponad wszelką miarę, a i psy ich lubią. Masańczycy ukuli już nawet przysłowie, które powiada, że najlepszym przyjacielem Masańczyka - jest pies.

Nie ma natomiast żadnego posągu Bucka na Ziemi. Ale Buck nie żywi o to pretensji. Czyż nie jest szczęśliwym psem i bez tego? Jest przecież z Holdenem. Nie odstępuje go na krok.

*Tłumaczył Krzysztof Zarzecki*

KONIEC